



BIULETYN OKOLICZNOŚCIOWY KLUBU TURYSTÓW GÓRSKICH "KOSÓWKA"



Rys. P. Suwalski

Biuletyn Okolicznościowy
wydany z okazji 40-lecia Klubu Turystów Górskich "Kosówka"
PRZY ŁÓDZKIM ODDZIALE PTTK IM JANA CZERASZKIEWICZA

Spis treści

A. Zimowski – "Czterdzieści lat..."	3
S. Nowicki – Czterdzieści lat Klubu Turystów Górskich "Kosówka" w Łodzi	4
E. Nowicka – Moje czterdziestolecie	7
G. Ulman – Skąd się wzięła "Kosówka"	9
S. Nowicki – Rajdy Łysogóry Jesień.....	11
Z. Keppe – Jak miłe są wspomnienia z dawnych lat, z dawnych dni. Ze wspomnień lekarza rajdowego	12
L. Fularski – Kapliczka na Bukowej Górze	15
L. Fularski – Rajdy imienia „Wujcia”	18
J. GROŃSKA – Kosówkowe "Powitanie wiosny"	20
M. Brojer, E. Królikowska – Wycieczki w czas miniony. Zamki, dwory i pałace	22
E. Korczak – Sylwestrowe narty	24
R. Zieliński – Wyprawy do Czechosłowacji	28
E. HANKIEWICZ – Wędrówki z sąsiadami.....	29
K. Groński – Pod niebem kondorów. Wyprawa w Andy i do krajów Ameryki Południowej.....	30
S. Nowicki – Hiszpania 1989	33
A. Chyżewski – „... i nadziwić się nie mogą, jaki piękny świat”	36
J. Zimowska – Mont Blanc – niespełnione marzenie	39
R. Przygocki – Na dach Europy	41
A. Zimowski – Wyprawa Klubu „Kosówka” – „ Nordkapp - 94 „	42
R. Niczypor-Przygocka – Jak zdobyliśmy Kebnekaise	44
A. Detyniecki, J. Grońska – Szkocja. Z wycieczki po Wyspach Brytyjskich.....	46
W. Gawroński – Słowo o Dolomitach.....	46
A. Sulikowski – Klub Turystów Górskich "Kosówka" w Dolomitach i Alpach Bawarskich	48
J. Grońska – Na górskich szlakach pracy społecznej.....	50
A. Chyżewski –Władysław Krygowski 1906 -1998	53

Członkowie Honorowi
KTG "Kosówka"
w latach 1958-1998

- | | |
|------------------------|---------------------------|
| 1. Adam Chyżewski | 9. Henryk Nadziakiewicz |
| 2. Wanda Fularska | 10. Eleonora Nowicka |
| 3. Lechosław Fularski | 11. Stanisław Nowicki |
| 4. Iwona Hoeflich | 12. Tatiana Pawłowicz |
| 5. Zofia Keppe | 13. Vaclav Rinn |
| 6. Władysław Krygowski | 14. Marek Trombski |
| 7. Andrzej Łączyński | 15. Stanisław Wierzbowski |
| 8. Jan Marusik | 16. Janina Zimowska |

"CZTERDZIEŚCI LAT..."



PeTeTeKu w Łodzi

Jest Klub; w góry chodzi
Od czterdziestu znany lat.
A dróg w górskim trudzie,
Ci z "Kosówki" ludzie,
Wydeptali długi szlak.

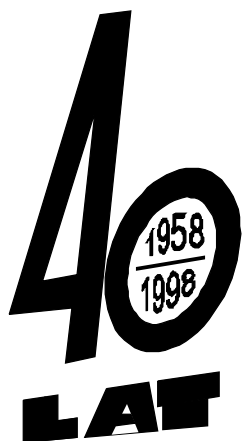
Czterdzieści lat minęło, jak jeden dzień;
Dzięki "Kosówce" świat nam bliższy jest.
Z czterdziestu szczytów widać w dolinach cień,
Z czterdziestu ślemy wam przyjaźni gest.
A góry tobie w koło śpiewają tak,
I proszą, byś z nimi był.
Mont Blanc, Ben Nevis, Nepal i Andów smak,
Zdobywałeś, choć czasem brakło sił.
I chociaż czas pogania, śmiejemy się z drania,
Bo nas na jeszcze więcej stać.

Dziś wam mówię szczerze:
czas? Ja weń nie wierzę,
Młodość przecież tryska z nas.
Przed oczami stale
Są tatrzańskie hale
I kosówki mroczny las.

Czterdzieści lat minęło i przygód sto.
I nowe już układa dla nas los.
Zdobywać szczyty chcemy, bo to jest to.
I wspomnień będzie znowu pełny trzos.
Bo góry tobie w koło śpiewają tak,
I proszą, byś z nimi był.
Nordkap, Sumatra, Bali, Katmandu smak,
Byłeś tam wszędzie, nie zabrakło sił.
A gdy cię czas pogania, śmiejemy się z drania,
Czterdzieści mamy nowych,
Czterdzieści mamy nowych,
Czterdzieści mamy nowych lat!

Andrzej Zimowski

CZTERDZIEŚCI LAT KLUBU TURYSTÓW GÓRSKICH "KOSÓWKA" W ŁODZI



Klub Turystów Górskich "Kosówka" powstał z inicjatywy działaczy Komisji Turystyki Górskiej Łódzkiego Oddziału PTTK 12 kwietnia 1958 roku. W tym dniu na spotkaniu, które zgromadziło 50 osób wybrano pierwszy Zarząd Klubu.

Prezesem został Aleksander Siemiradzki (zmarł w 1976 r.)

faktyczny inicjator założenia Klubu, członek przedwojennego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Do dnia dzisiejszego działają w Klubie i szerzej w turystyce, członkowie założyciele Klubu w osobach: Wanda Fularska, Lechosław Fularski, Iwona Hoefflich, Eleonora Nowicka (Przybylska), Stanisław Nowicki.

W pierwszym okresie działalności Klubu jego członkowie zaczęli wspólnie organizować wycieczki górskie dla siebie oraz prowadzić akcję szkoleniowo-odczytową wewnątrz Klubu. We wspólnych wyprawach widzieli sens uprawiania turystyki jako odskoczni od codziennego, szarego życia, a urzeczni górami szukali prawdziwej przyjaźni wśród "ludzi gór", a szczególnie wśród członków Klubu – mieszkańców wielkiej aglomeracji przemysłowej, jaką była Łódź i okoliczne miasta.

Klub rozpoczął swoją działalność od wycieczek w Łysogóry i Beskidy, później coraz śmielej zaczął organizować swoje wyprawy coraz wyżej i coraz dalej. Najpierw Tatry Polskie i Słowackie, później Karpaty Rumuńskie, Piryn, Riła i Rodopy w Bułgarii, Alpy Julijskie, Góry Dynarskie w Jugosławii, Alpy Włoskie i Francuskie, Himalaje i Andy.

Każda z tych wypraw przynosiła nowe przeżycia, kształtowała charakter uczestników i uczyła pokory do gór, ale przede wszystkim cementowała więzi z Klubem, tworzyła prawdziwą przyjaźń i rodzinną atmosferę w Klubie, dzięki której Klub żyje, a jego członkowie

długo jeszcze będą wędrować po górskich szlakach.

Góry są piękne ale i niebezpieczne, dlatego w Klubie organizowano cykliczne szkolenia w zakresie: udzielania pierwszej pomocy, topografii gór, umiejętności poruszania się w górach (szczególnie wysokich) itp. Przeprowadzono też szkolenia teoretyczne i praktyczne ćwiczenia w skałkach i Tatrach celem zdobycia doświadczenia i umiejętności posługiwania się liną, rakami i czekanem. Te szkolenia przydały się bardzo w późniejszych wyprawach w góry wysokie. Przeprowadzono szkolenia z zakresu geologii gór, a także wygłoszono szereg prelekcji z zakresu ochrony przyrody, kultury i historii miejsc, do których organizowano wyprawy.

Dużo czasu członkowie Klubu spędzili w górach w okresie tych czterdziestu lat, wiele przeżyć utrwaliło się w pamięci, ale zawsze z wielkim sentymentem wracano do wspomnień o tych pierwszych krokach w turystyce górskiej.

Nie można zapomnieć otwarcia zlotu w Młodej Horze w 1958 roku w ulewnym deszczu i chłdzie, i w „pływających” namiotach, albo zlotu w Berehach Górnych w 1960 roku (tak nazywało się miejsce po istniejącej kiedyś wsi) w Bieszczadach. Już samo dotarcie do tego miejsca – położonego między połoninami: Wetlińską i Caryńską – z Łodzi było dużym wyczynem i trwało 24 godziny. Podróż z pięcioma przesiadkami do Ustrzyk Górnych, a w końcowym etapie kilkanaście km pieszo z bagażem na plecach. A było co dźwigać: namiot, siekierka, łopatka, żywność na dwa tygodnie, a także rozebrana na części kuchnia polowa.

Piszący te słowa i tak miał dużo szczęścia, bo niósł dodatkowo „tylko” blaszany komin o wysokości 1,5 m. Trzeba przypomnieć dzisiejszym turystom, że wtedy w Bieszczadach nie było „obwodnicy”, nie było wytyczonych szlaków ani dróg, ani mostów, ani żadnej bazy noclegowej.

Z późniejszych zlotów, obozów górskich pozostały w pamięci przejścia znaczone kopczykami lub nieznakowanymi ścieżkami w

Tatrach (dzisiaj już niestety niedostępne turystom) jak np.: Hala Pyszna, Wąwóz Kraków itp. Oraz rozmaite przygody w czasie kursów wspinaczkowych. Wszystkie te formy uprawiania turystyki zaowocowały wyprawami w inne góry Europy, Azji i Ameryki.

Ale wyprawy górskie „nie przeszkadzają” członkom Klubu uprawiać turystyki krajoznawczej - bo przecież Klub należy do Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego.

I na tym polu „Kosówka” ma niemałe osiągnięcia w poznawaniu i odkrywaniu „na nowo” piękna przyrody i kultury; historii i zabytków naszego kraju, ale i również w poznawaniu innych kultur i obyczajów w świecie. Zwiedziliśmy Rumunię, Hiszpanię, Francję, kraje Beneluxu, Norwegię, Grecję, Włochy z Sycylią, Anglię, Szkocję i Irlandię, Indonezję, Tajlandię, Egipt i Izrael. Ale i na tych imprezach nie zapomina się o górach. Zawsze znajdzie się czas i miejsce na wypad w góry jak np. w Hiszpanii – w Pireneje czy też pasmo Sierra Nevada, jak w Grecji – na Parnas czy Olimp, jak na Sycylii – w masyw Etny, we Włoszech – w Dolomity, w Szkocji – na Ben Nevis, a w Egipcie – na Synaj.

A ileż wrażeń pozostawiło osiągnięcie i przekroczenie koła polarnego i dotarcie do Nordkapp w Norwegii. Tak się już w Klubie przyjął zwyczaj, że w wyprawach górskich musi się znaleźć czas na krajoznawstwo, a w wyprawach krajoznawczych muszą być akcenty górskie, bo jak się mówi w Klubie – „bez gór żyć się nie da”.

Góry zbliżają ludzi, a ponieważ „turystyka nie zna granic” – to już w 1970 roku nawiązano kontakty z Czeskim Związkiem Turystycznym (Česky Svaz Turist), które trwają do dziś ku obopólnemu zadowoleniu. Wielu naszych klubowiczów brało i bierze udział w imprezach organizowanych przez naszych kolegów Czechów, a z kolei czescy turyści poznali nasze góry od Bieszczad po Sudety, a także Mazury, Pomorze nie mówiąc o Warszawie, Łodzi czy Krakowie. W kontaktach z kol. kol. z Czech nawiązały się liczne znajomości i przyjaźnie, które trwają do dziś, a Jindřich Průša i Václav Rinn przedstawiciele ČST są naszymi przyjaciółmi, a Vacek nawet honorowym członkiem naszego Klubu.

W 1981 roku nawiązano kontakt z turystami z Niemieckiej Akademii Nauk w Berlinie i podobnie jak z turystami czeskimi, kontakty te trwają do dziś (z małą przerwą na czas obalania muru berlińskiego). Nasi klubowicze zwiedzili między innymi Góry Harzu, Rugię, Berlin a z kolei niemieccy turyści upodobałi sobie Mazury, Beskidy, a przede wszystkim Tatry, zaś z polskich miast Kraków i Krynicy.

Jedną z cech, bardzo ważną w działalności „Kosówki” są stałe spotkania klubowe, wypełnione prelekcjami z odbytych wypraw i wycieczek, ilustrowane zdjęciami, slajdami lub filmami video. Z prelekcjami występują też osoby spoza Klubu, które brały udział w egzotycznych wyprawach na najwyższe szczyty Himalajów, czy też do Nowej Zelandii lub Kenii.

Wysoko cenią sobie także klubowicze spotkania towarzysko-rozrywkowe. Ileż to wzruszeń dostarczyły wieczory przy świecach, gdy wsłuchiwaaliśmy się w muzykę Karola Szymanowskiego czy Mieczysława Karłowicza lub poezję Adama Asnyka, Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej czy też Stanisława Nędzy-Kubińca. Wśród imprez rozrywkowych niezapomniane są bale na zakończenie sezonu turystycznego. Każdy bal ma swoje hasło i odpowiednią do niego oprawę zarówno sali balowej jak i osób biorących w nim udział. Przykładowo: „Pokaz mody turystycznej”, „U Zeusa” czy „Tabor cygański”. Konkursy, tańce i śpiewy trwają zwykle do białego rana.

Rok kalendarzowy kończymy zawsze w „Kosówce” wigilią klubową i tak jak w każdej rodzinie łącimy się opłatkiem, składając życzenia, śpiewamy kolędy i dostajemy prezenty od Mikołaja. A Sylwestra spędzamy w górach, najczęściej w schronisku; czy to w Samotni, czy na Polanie Chochołowskiej czy na Klimczoku i koniecznie toast o północy musi być wzniesiony przy płonącym ognisku.

Od samego początku członkowie Klubu nie ograniczali się do uprawiania turystyki we własnym gronie, ale dość wcześnie otworzyli się dla turystów niezrzeszonych. Już w drugim roku istnienia Klub zorganizował rajd w Górach Świętokrzyskich pod nazwą „Łysogóry - Jesień”. Ideą przewodnią tej imprezy było prócz wędrówki poznawanie uroków kielecczyny, jej przyrody, zabytków i bogatej historii. W tym

pierwszym rajdzie wzięło udział 312 osób, głównie młodzieży szkolnej. Impreza była tak udana, że powtórzono ją w następnym roku, a potem nie było już możliwości odwrotu i rajd wszedł na stałe do kalendarzyka imprez ogólnopolskich. W 1998 roku odbędzie się kolejny „XL Rajd Łysogóry - Jesień”. Z niemałą satysfakcją Klub może się pochwalić, że w ciągu tych 39 rajdów ponad 30 tysięcy uczestników poznało uroki Puszczy Jodłowej.

Nie trzeba dodawać, że cała organizacja rajdu pozostając w rękach członków Klubu przyczyniła się do poznania własnych możliwości organizatorskich i umożliwiła organizację międzynarodowego rajdu pod nazwą „Rajd Wujcia”, który odbywał się głównie w Beskidzie Sądeckim, zahaczając także o Tatry i Pieniny.

Rajd ten upamiętnia pierwszego prezesa „Kosówki” – Aleksandra Siemiradzkiego, który pochodził z Ziemi Nowosądeckiej, tam działał w czasie wojny, a po wojnie zamieszkał w Łodzi.

Wielkim wzięciem wśród młodzieży szkolnej, zwłaszcza tej młodszej cieszy się rajd „Powitanie Wiosny” – organizowany przez Klub pod hasłem „Topienie Marzanny”, ale przedtopieniem jest jeszcze konkurs na najpiękniejszą kukłę i słodkie nagrody.

Nie sposób w tym artykule opisać nawet w części wszystkich wydarzeń jakie miały miejsce w Klubie przez te kilkadziesiąt lat, a to, że Klub osiągnął trwały dorobek w turystyce – to zasługa samych członków Klubu, którzy stworzyli coś na kształt drugiej rodziny – otwartej dla każdego, kto chce w życiu klubowym uczestniczyć. I na pewno były to drzwi otwarte szeroko, bowiem przez Klub przewinęło się ponad 400 osób (aktualny stan – 125 członków). Lista zasłużonych członków Klubu jest długa. W pierwszej jednak kolejności należy wymienić prezesów Klubu, którzy w okresie 40 lat „bacowali” w Kosówce i przyczynili się w sposób niezaprzeczalny do rozwoju i osiągnięć Klubu. Tak więc:

- Aleksander Siemiradzki tzw. „Wujcio” – prezes Klubu w latach 1959 - 1966 oraz 1970 - 1972,
- Marek Trombski w latach 1966 - 1970 – do ubiegłego roku wojewoda Bielsko-Bialski,
- Adam Chyżewski w latach 1972 - 1974 – wieloletni prezes Zarządu Głównego PTTK,

— Grzegorz Ulman w latach 1974-1977 w pewnym okresie czasu także prezes Zarządu Łódzkiego Oddziału PTTK,

— Romuald Zieliński w latach 1977-1982,

— Lechosław Fularski w latach 1982-1993 – członek honorowy PTTK, wieloletni prezes Zarządu Łódzkiego Oddziału PTTK, aktualnie prezes honorowy tego Oddziału,

Stanisław Nowicki od 1993 do chwili obecnej – wieloletni wiceprezes Zarządu Zakładowego Oddziału PTTK Wólczanka S.A. w Łodzi. W latach 70-tych przewodniczący Komisji Turystyki Górskiej Łódzkiego Oddziału PTTK.

Nie można nie wymienić tych koleżanek i kolegów, którzy z wielkim zapałem angażowali się w pracę dla Klubu od pierwszych lat jego istnienia aż po dzień dzisiejszy – a są to : Jola i Krzysz Grońscy, Tatiana Pawłowicz, Witold Opasewicz, Izabela Chyżewska, Janina Brycht-Zimowska, Jan Marusik, Henryk Nadziakiewicz, Barbara Stolarczyk, Do nich dołączyli później kol. kol.: Zbigniew Ścibiorek, Adam Sulikowski, Andrzej Lesiński, Zofia Keppe, Paweł Suwański, Włodzimierz Rakowiecki, Elżbieta Korczak, Maria Lisowska i Zdzisław Hibszer.

Działalność Klubu była zawsze wysoko oceniana przez władze PTTK, a wyrazem tego były liczne odznaczenia i listy gratulacyjne dla Klubu i jego członków. I tak Klub został odznaczony: Złotą Honorową Odznaką PTTK, Odznaką za zasługi dla Oddziału Łódzkiego PTTK, zaś jego członkowie mogą pochwalić się otrzymaniem:

- 38 złotych i 53 srebrnych Honorowych Odznak PTTK,
- 13 złotych i 12 srebrnych odznak „Zasłużony w pracy PTTK wśród młodzieży”,
- 15 złotych i 11 srebrnych odznak „Zasłużony Działacz Turystyki”,
- 14 medali „Za Zasługi w Turystyce Ziemi Kieleckiej”
- 51 odznak „25 lat w PTTK”,
- 3 medale „100-lecie Turystyki”,
- 1 medal Komisji Turystyki Górskiej Zarządu Głównego PTTK,
- 6 pamiątkowych odznak „100-lecie Turystyki v Československu” przyznawanych przez Český Svaz Turisti,
- 7 dyplomów Zarządu Głównego PTTK.

Członkowie Klubu otrzymali też wiele odznaczeń, dyplomów i listów pochwalnych od Zarządu Wojewódzkiego i Łódzkiego Oddziału PTTK im. J. Czeraszkiewicza. Należy też dodać, że wśród członków Klubu aktualnie jest czynnych 20 Przodowników Górskiej Odznaki Turystycznej oraz wielu przewodników i organizatorów turystyki a także członków Straży Ochrony Przyrody.

W zadumie chylimy dziś czoła przed tymi koleżankami i kolegami, którzy wiele trudu, czasu i serca wnieśli w kształtowanie życia Klubu i niestety nie doczekali jubileuszu 40-lecia tak drogiego im Klubu, a byli to: Aleksander Siemiradzki, Mieczysław Gajewicz, Zbigniew Marszałek, Stanisław Wierzbowski, Anna Król, Marian Chećko, Michał Druri, Wacław Krawczyk, Leon Wojciechowski, Jacek Ciesielski, Przemysław Wojciechowski, Bohdan Andrzejewski, Władysław Manduk i Kazimierz Hempel.

Na ich grobach i na grobie „Wujcia” i „Cioci” (żony Aleksandra Siemiradzkiego, która matkowała młodzieży klubowej) po każdym jubileuszu, a więc i w 40-lecie płoną znicze i składane są kwiaty i gałązki kosówki.

W rocznicę 40-lecia „Kosówki” zaszczyt prowadzenia Klubu przypadł w kolejnej XX kadencji kolejnemu Zarządowi w składzie:

prezes Klubu – Stanisław Nowicki,
wiceprezesi:
do spraw organizacyjnych – Elżbieta Korczak
do spraw imprez – Romuald Zieliński

sekretarz Klubu – Telesława Fijałkowska

skarbnik Klubu – Janina Maciejewska

członkowie:

– Anna Pawlak
– Włodzimierz Rakowiecki
– Krystyna Wesołowska

Komisja Rewizyjna :

przewodnicząca – Eleonora Nowicka

członkowie:

– Tatiana Pawłowicz
– Czesław Wilk

Wszystko, co dzieje się w Klubie od początku jego powstania nie zostanie zapomniane dzięki kronikarzowi – Zdzisławowi Hibszerowi, który prowadzi barwną kronikę klubową.

Stanisław Nowicki
Prezes Klubu Turystów Górskich „Kosówka”
Przodownik GOT nr 1503

MOJE CZTERDZIESTOLECIE



ztery dekady w życiu człowieka to dużo. Przez te lata zmieniło się życie, ustrój, warunki i ludzie.

Sięgając pamięcią wstecz do roku 1958, gdy powstał Klub, wspominam czasy mojej młodości - tuż po uzyskaniu pełnoletności i dyplomu ukończenia studiów. Skończyły się piękne studenckie czasy, zaczęła praca zawodowa i ... co dalej? Na szczęście ukazała się notatka w prasie o organizowaniu Klubu Turystów Górskich ; bez chwili zastanowienia wiedziałam, że jest to to, czego mi potrzeba jak powietrza. I tak się zaczęło. Już pierwsze rajdy i wycieczki potwierdziły, że się

nie myliłam. Możliwości oderwania się od pracy, fizyczny kontakt z przyrodą no i poznawanie nowych ludzi o tych samych upodobaniach. Zaczęło się dziać coś nowego.

Od samego początku prawdziwie ojcowską opieką otoczył nas "wujcio" prezes Klubu. On mnie nauczył chodzić po górach, patrzeć na nie, słuchać i ... odczuwać przed nimi respekt. Komuś, kto nie znał "wujcia" od strony turystyki, jego pojmowania gór, przyjaźni i troski o nas trudno zrozumieć dlaczego do tej pory go pamiętamy i wspominamy z ciepłą nutką w sercu.

Ludzie, którzy napłynęli do Klubu zaczęli stanowić powoli wspólną rodzinę. Piszę to z całą odpowiedzialnością, bo czasy wtedy były trudne i

biedne, ale ludzie jakby bardziej życzliwi i zjednoczeni.

Tak się zaczęły przyjaźnie, wspólne spędzanie urlopów i w ogóle wolnego czasu. Razem też uczyliśmy się poznawania gór tych mniejszych i większych, a także związanej z nimi historii, kultury i sztuki. Poznawaliśmy również i inne miejsca w kraju i okolicy Łodzi.

Dziś niektórzy z nas wspominają, że obecnie mamy większe kłopoty z wyjazdami bo wszystko drogo kosztuje, ale chyba zapomnieli, że nasze wyjazdy ograniczały się często do spania w namiocie i to nie na materacu, ale na cetynie, zamiast śpiwora puchowego mieliśmy nie najlepsze koce, a za posiłek wystarczał makaron np. z jagodami - jak to było w Bieszczadach.

Kto z klubowiczów jest w stanie zapomnieć wycieczki nad jezioro Okręt, a później wyjazdy organizowane przez Romka Zielińskiego do Kurnędzy czy Księżych Młynów, gdzie nieodłącznie towarzyszyły nam szum lasu, dywany z macierzanki, wieczorne ogniska ze śpiewami do późnej nocy.

Staraliśmy się również jak najczęściej spotykać w Łodzi, zwłaszcza w okresie jesienno-zimowym. Nie w sali Zakładu Sieci Ciepłej. Był zwyczaj spotykania się z różnych okazji u różnych ludzi prywatnie, często w domu "wujcia" i uroczej "cioci".

Mieliśmy też wspaniałe pomysły składania niezapowiedzianych wizyt - po zebraniach - koleżankom czy kolegom, którzy nie przyszli na zebranie. Spotykaliśmy się też na potańcówkach w "Agawie", "Irenie", a latem na łonie natury, często tym "łoniem" była działka Tatiany.

Od początku były też organizowane bale na zakończenie sezonu, początkowo z orkiestrą, później przy adapterze.

Bale były organizowane z całą pieczołowitością i organizacja ich zajmowała bardzo wiele czasu. Mieliśmy jednak zdolnych ludzi, takich, jak czołowy organizator Tatiana, czy o artystycznych duszach - Basia Stolarczyk, Jola Grońska i Romek Zieliński. Później do tej grupy dołączył Paweł Suwalski, a dziś szefuje Krysia Wesołowska.

Do dziś wspominamy te bale, przypominają nam o nich zdjęcia i pozostałe czasem rekwizyty czy dekoracje.

Mieliśmy w tym czasie własnego poetę (Wiesiek Preiss), chór "Juhasik", aktorów i

narratorów. Czasami nie mogąc uzyskać sali organizowaliśmy spotkania u Tatiany w kuchni na ul. Nawrot, "ostatki" (to już w pokoju), czy też wspaniałe ostatki u Zosi i Leona Wojciechowskich.

Życie towarzyskie wtedy kwitło. Pamiętam jak wprowadziliśmy w zdumienie Zosię i Andrzeja Łączyńskich, którzy - zaproszeni przez Adama Chyżewskiego - przyjechali z Krakowa do Łodzi na "Sylwestra". Noc Sylwestrową spędziliśmy w sporym gronie na balu na Politechnice, ale w ogóle zabawa przeciągnęła się do 3 dni i prawie 3 nocy. Zosia i Andrzej nabrali wtedy respektu dla naszej kondycji, ale z Łodzi wyjechali ledwo żywi.

Można by wiele jeszcze pisać, bo przez te czterdzieści lat prawie cały czas coś się działo (z małymi przerwami np. w okresie stanu wojennego). Nastąpiły jednak pewne zmiany, nie zawsze na lepsze. Atmosfera życzliwości, spontaniczności i bezinteresowności tamtych czasów już nie wróci, tak jak nie wróci nasza młodość.

Jedno jest pewne, pozostanę duszą i ciałem w Klubie dokąd tylko będę mogła, bo to jest moje życie. Jest to wyznanie nadzwyczaj szczere, ale bardzo prawdziwe.

Człowiek, żeby przeżyć życie tak jak został do tego stworzony musi mieć poza pracą i zapewnieniem sobie bytu coś dla ducha. Ja, znalazłam to w Klubie. Znalazłam w nim również męża, który ma tę samą pasję. Pamiętam jak wiele lat temu wędrowaliśmy po Tatrach grzbietem Ornaku w trójkę z naszą córką, gdy pozdrowił nas pewien samotny starszy pan i zwrócił się do Staszka tymi słowami: "pan to musi być szczęśliwy, bardzo panu zazdroszczę, że może pan tu być z rodziną, moja rodzina niestety nie podziela moich pasji, a tak bym chciał pokazać im to co najpiękniejsze."

Czy spędzając życie poza Klubem mogłabym przeżyć tyle wspaniałych chwil, które były mi dane? Myślę, że to było by niemożliwe. Ileż to razy zachwycalam się wiosną, na Rajdach Świętokrzyskich, łąkami pełnymi kaczeńców, dziko rosnącymi pierwiosnkami, sasankami, zapachem czeremchy, czy słuchając przez całą noc najpiękniejszego koncertu, jaki urządziły żaby w Kunowie. A jesienią Góry Świętokrzyskie całe w złocie i purpurze, "liliowa

od wrzosów Radostowa" - jak pisał Żeromski, czy też Beskid Sądecki, który w początkach października (na Rajdach "Wujcia") dawał nam tyle doznań duchowych i wzrokowych, że człowiek czuł się szczęśliwy. Czy pamiętacie (Ci którzy tam byli) zachód słońca na Pustej Wielkiej ze snującymi się mgłami w dolinie? Tego się nie da zapomnieć.

Osobny rozdział stanowią Tatry, które są szczególnie ukochane i piękne o każdej porze roku i zawsze inne. Spędziłyśmy w nich wiele, wiele dni, zdobyliśmy prawie wszystkie szczyty i nigdy nie zapomnę pewnych momentów, jak np. watry górskiej na Polanie Chochołowskiej, gdzie obecni byli najwybitniejsi ludzie gór i przewodnicy tatrzańscy. Innej watry w Roztoce (gościł u nas wtedy Wiktor Ostrowski - wybitny andynista), gdzie śpiewaliśmy przy ognisku do późnej nocy. Nie zapomnę też spacerów nad Morskim Okiem i oglądanie mlecznej drogi, czy też rozgwieżdżonego nieba w Dolinie Staroleśnej w towarzystwie Izy i Adama Chyżewskich, Ewy Hawlickiej i innych. Zawsze na takich wyprawach było nas od kilkunastu do dwudziestu paru osób, a czasem jak w Roztoce dużo więcej. Trudno też nie wspomnieć kursu wspinaczkowego w Skalkach czy później w Tatrach, gdzie poznaliśmy Marka Pawłaka, bo tak jak my (Adam, Staszek i ja) wolał siedzieć w schronisku, gdy lało jak z cebra, a wyjść w góry po ustaniu deszczu. Zdobyliśmy wtedy Cubrynę, Niżne Rysy, Mięguszowiecki Wielki i Żabi Wyzni.

Wprowadzaliśmy też w góry nasze dzieci i myślę, że większość z nas przekazała im miłość

do gór. Dziś zaczynamy wprowadzać w góry nasze wnuki.

Dzięki Klubowi zaczęliśmy również poznawać świat, najpierw bliższe kraje, a potem coraz dalsze. Niektórym z nas dane było zwiedzić najodleglejsze zakątki świata takie jak Nepal, Indie czy Amerykę Południową i zagłębić się w Andy. Jedno jest zastanawiające, że po zwiedzeniu wielu krajów Europy i nie tylko, nie mamy kompleksu, że nasz kraj jest gorszy, a doznania tu przeżyte nie mniejsze niż w najegzotyczniejszych krajach. Ogromne wrażenie np. zrobiła na mnie pustynia Synaj i odprowadzająca tam wieczorna Msza Święta, ale w tym momencie przypomniałam sobie inną Mszę odprawioną na głazach na Hali Gąsiennicowej w przepięknej tatrzańskiej scenerii. Był to obraz porównywalny. Wędrowanie po szlakach Beskidów, Sudetów i Tatr przeżywamy ciągle. Ciągle też tam wracamy, może już nieco wolniej i nieco niżej chodzimy (oczywiście członkowie założyciele), ale z równą pasją.

Moje czterdziestolecie jest więc we mnie, bo wszystko co przeżyłam, wszystkie moje przyjaźnie i doznania (a były to głównie doznania pozytywne) związane są z Klubem. Jakże więc mogłabym się nie cieszyć, że Klub istnieje nadal w dobrej kondycji i mieć nadzieję, że będzie trwał dalej, a my będziemy się spotykać w górach i na nizinach przez następne lata. A może spotkamy się na pięćdziesięcioleciu?

Eleonora Nowicka

SKĄD SIĘ WZIĘŁA "KOSÓWKA"



Kiedy powstał Klub Turystów Górskich przy Łódzkim Oddziale PTTK, część doświadczonych turystów górskich, z siebie tylko znanych

powodów, nie przystąpiła do klubowej rodziny. Byli oni jednak wybitnymi działaczami w Komisji

Turystyki Górskiej naszego Oddziału i dlatego darzyliśmy się szacunkiem i przyjaźnią, a łączyła nas wspólna działalność organizacyjna i wspólne uczestnictwo w wielu imprezach. Kiedy więc Zarząd Klubu w 1976 r. zlecił mnie i nieodżałowanemu Stasiowi Wierzbowskiemu zorganizowanie zlotu klubowego w Beskidzie Niskim zwróciliśmy się do dwóch takich przyjaciół spoza klubu, wybitnych znawców tego terenu, o pomoc w wybraniu miejsca oraz w

załatwieniu formalności z władzami pogranicza (mieli tzw. "chody"). Byli to Lolek Henzel i Tadek Kiełbasiński. Obaj z ochotą przyszli nam z pomocą i w dużej mierze dzięki nim zlot ten był naprawdę udaną pod każdym względem imprezą. Pojechaliśmy z nimi wiosną, aby wybrać jakieś zaciszne miejsce na zlotowe obozowisko. Znaleźliśmy uroczy zakątek w zakolu rzeczki, na terenie nieistniejącej od czasów wojny wioski Lipowiec. Kiedy uznaliśmy, że miejsce to jest wymarzone na zlotowe obozowisko, zadowoleni usiedliśmy do turystycznej kawy, a ja w tym czasie na znalezionym kawałku deski wyciąłem litery KTG, aby oznaczyć dokładnie to miejsce. Wówczas chyba właśnie Lolek zwrócił uwagę, że te litery równie dobrze mogą oznaczać Klub Turystów Górskich jak i Komisję Turystyki Górskiej. To też po powrocie do Łodzi na najbliższym posiedzeniu Zarządu postanowiliśmy nadać Klubowi jakąś nazwę, aby nie mylić Klubu z Komisją, a ponadto uważaliśmy, że samo KTG było bardzo urzędowe i nie oddawało rodzinnego ducha jaki panował wśród nas. Ktoś zaproponował "Juhasy", ale Stasio Wierzbowski po swoim zamruczał: "juhasy, juhasy - stare przyki nie juhasy, juhasy to jest dobre dla folklorystycznego kółka pieśni i tańca". Mówimy Mu, że to jest prawda, faktycznie nie jesteśmy młodzi, ale jeszcze nieźle nas po wierchach nosi i jeszcze nie tak łatwo da się nas złamać. Na to Stasio ze śmiechem powiedział, że stara i niełamliva to jest kosówka. Wszyscy uznaliśmy, że to jest genialne uzasadnienie dla "Kosówki" i właściwie w całym klubie nie było żadnego głosu sprzeciwu.

Nie pamiętam kto zaprojektował gałązkę kosówki do naszego emblematu, ale chyba Basia Stolarczyk, bo wtedy Ona była "podręczną" plastyczką. W każdym razie projekt powstał bardzo szybko i Stasio zlecił wykonanie klubowych znaczków oraz plaketek z naszą gałązką. Tak więc na zlocie w Lipowcu byliśmy już "Kosówką", ale prawdziwy chrzest mieliśmy dopiero w następnym, to jest w 1977 roku, w czasie klubowej wyprawy w rumuńskie Karpaty.

Kiedy przedseptaliśmy Góry Rodniańskie i przenieśliśmy się w sąsiednie pasmo Gór Kelimeńskich nasza baza mieściła się w uroczej dolince nazwanej dla "zmyłki" Gura Haiti (wszystko w porządku, nie ma błędu, to jest

wyjątkowo piękna Gura pisana przez "u" otwarte). Niezapomnianą atrakcją pobytu w Gurze Haiti była pyszna kolacja rydzowa. Po burzy, o której będzie mowa dalej, w ciągu 15 minut w bezpośrednim otoczeniu namiotów zebraliśmy tyle wspaniałych rydzów, że zapelniliśmy nimi wszystkie wiadra i kochery. Daję słowo, że o wiele łatwiej było zebrać te grzyby, niż potem zjeść te ogromne porcje. Nigdy przedtem i nigdy potem nie uczestniczyłem w takim szalonym grzybobraniu i grzybowym obżarstwie. Szczęśliwie nikt po tej uczcie nie chorował.

Wczesnym rankiem wyszliśmy z bazy z zamiarem przejścia głównej grani Gór Kelimeńskich. Przez cały czas była piękna, słoneczna pogoda i piękne panoramy. Kiedy przeszliśmy już prawie cały planowany odcinek głównego grzbietu pogoda raptownie popsuła się i zaczęła nadciągać burza. Trzeba było szybko schodzić w dolinę, ale nie bardzo wiadomo było którędy, bo szkiecowe mapy jakimi dysponowaliśmy były celowo bardzo niedokładne, żeby ewentualni amerykańscy agresorzy nie zorientowali się czy są w Rumunii, czy na Księżycu. Znakowanie też służyło raczej zamaskowaniu właściwej drogi. Kierownictwo postanowiło obejść zachęcający do zejścia, choć w górnej partii dość stromy żleb szerokim trawersem i dojść do jakiegoś łagodniejszego zejścia. Pamiętam jak nad tym żlebem zatrzymał się Stasio Nowicki i mówi do mnie, że chyba to jest właściwa droga. Zgodziłem się z Nim, ale byliśmy zdyscyplinowani i poszliśmy za kierownictwem. Trawers okazał się być "bez końca", więc kiedy doszliśmy do dość łagodnie opadającej połoniny kierownictwo zarządziło zejście przez tę połoninę do widocznego pasma kosówki na jej końcu. W tym momencie spadły na nas pierwsze krople deszczu. Sądziliśmy, że przejdziemy przez tę kosodrzewinę i dalej już bez problemów dotrzemy do obozu. Przewidywania okazały się słuszne, tyle tylko, że przez tę kosówkę przedzieraliśmy się przez 3 godziny. Powitaliśmy i pożegnaliśmy w tej kosówce groźną burzę, zmokliśmy "do suchej nitki", potem osuszyło nas słońce, a my udając mały skakaliśmy z gałęzi na gałąź, go tylko na tych mokrych gałęziach można było postawić stopę. Między gałęziami noga zapadała się po pachwinę.

W tym małym gaju najrzęczniejsze i najdzielniejsze okazały się nasze klubowe dzieci, którym dzisiaj choć to już dorosłe mamy i ojcowie należą się słowa uznania za ten wyczyn. Kiedy wreszcie stanęliśmy na normalnej ścieżce na dnie doliny szczęśliwi, że wszyscy są cali i nikt niczego nie złamał, spojrzeliśmy do góry i trafił nas szlak. Staliśmy u wylotu żlebu, nad którym mądrze kombinował Staszek i widać było jak na dłoni znakowaną perć wiodącą środkiem żlebu wprost na grzbiet. Zejście tą percią nie zajęłoby

nam więcej niż kwadrans, no ale o czym wspominalibyśmy dzisiaj. Po tej przygodzie wszyscy pięknie pachnieliśmy kosówką, a z żywicy udało się nam oczyścić dopiero w Łodzi.

Jestem święcie przekonany, nikt nigdy nie dostał tak w skórę od kosówki jak nasi klubowicze. Mamy więc święte prawo do nazwy naszego Klubu.

Grzegorz Ulman

RAJDY ŁYSOGÓRY JESIEŃ



rok po powstaniu klubu, jego członkowie zorganizowali dla osób niezrzeszonych, rajd w Górach Świętokrzyskich pod nazwą Jesień 1959.

W zamyśle organizatorów rajd ten miał kończyć letni sezon w turystyce górskiej. W pierwszym rajdzie, w drugiej połowie września, wzięło udział 312 uczestników. Dobra organizacja rajdu spowodowała, że w następnych latach liczba uczestników stale rosła, a rekordowym pod tym względem był rok 1973, w którym wzięło udział 1529 osób – przy zaangażowaniu w organizacji i obsłudze tego rajdu 43 członków klubu.

W 1998 roku odbędzie się jubileuszowy **czterdziesty** już rajd "Łysogóry - Jesień 1998". W tych czterdziestu rajdach wzięło udział ponad 30 tysięcy uczestników, w tym głównie młodzieży szkolnej, która stanowiła ponad 90% ogólnej liczby osób biorących udział w rajdzie.

Tak duża liczba uczestników rajdu stawiała przed naszym klubem wielkie wyzwanie w zakresie organizacji tej imprezy i myślę, że egzamin ten członkowie klubu zdali celująco, o czym świadczy popularność rajdu.

Najpoważniejszym problemem organizacyjnym było przygotowanie noclegów - bowiem baza turystyczna zapewniała tylko 15 - 20% potrzebnych miejsc noclegowych. W tej sytuacji noclegi na sianie czy słomie w stodołach lub wiejskich chatkach były koniecznością, a niejednokrotnie również atrakcją, choć zmuszały

uczestników rajdu do dodatkowego obciążenia swych grzbietów śpiworami lub kocami.

Drugim ważnym problemem był dojazd z Łodzi do Gór Świętokrzyskich i powrót do Łodzi w jednym czasie tak dużej liczby uczestników (1000-1200 osób). Komunikacja między Łodzią a Kielcami nie była najlepsza (łagodnie to określając). Zorganizowano więc pociąg rajdowy, który rozwiązał ten problem. Jedynym mankamentem było to, że PKP godzinę odjazdu pociągu (był to pociąg pozarozkładowy) podawały w ostatniej chwili, narażając organizatorów na wielki stres, ale i z tym problemem poradzano sobie i zawsze rozśpiewany pociąg ruszał w drogę.

Z innych problemów, to skompletowanie obsługi rajdu i tras. Wielu naszym członkom w ostatniej chwili odmawiano urlopów z pracy. Zawsze jednak była przygotowana "kadra rezerwowa", co zapewniało przeprowadzenie imprezy bez zakłóceń.

Innych kłopotów organizacyjnych też było niemało - należało bowiem przygotować regulamin rajdu i w odpowiednim czasie przesłać go do szkół i innych instytucji, wytyczyć i opisać przebieg tras rajdowych, zaprojektować i przygotować znaczki rajdowe, dyplomy uczestnictwa w rajdzie, przygotować zasady punktacji drużyn, a w ślad za tym nagrody dla najlepszych drużyn, przygotować miejsca dla codziennych spotkań przy ogniskach na każdej z tras itd. itd. A po zakończeniu rajdu skompletować dokumentację i dokonać rozliczenia finansowego rajdu oraz dokonać analizy wszystkich pozytywnych i negatywnych

zdarzeń na rajdzie - a to celem poprawy organizacji przyszłych rajdów.

W kolejnym rajdzie (już czterdziestym), który odbędzie się w dniach 17-20 września bieżącego roku w Górach Świętokrzyskich przewidujemy około 200 uczestników, gdyż dla tylu będzie można zabezpieczyć noclegi w schroniskach turystycznych. Zorganizowane będą autokary do przewozu uczestników z Łodzi bezpośrednio do miejsca startu danej trasy i z powrotem do Łodzi. Przewidujemy także, że autokary pozwolą (obok wędrówek pieszych) na zwiedzenie wielu zabytków i innych ciekawych obiektów w tamtym rejonie.

Czterdzieści rajdów to czterdziestu kierowników i wielokrotnie więcej kierowników tras, kwatermistrzów i skarbników oraz lekarzy rajdowych, którzy poświęcając swój prywatny czas, "chcą tylko" przyczynić się, by jak najwięcej młodzieży mogło choć na parę dni oderwać się od zajęć szkolnych i poprawić swą tężyznę fizyczną wędrując po górach, a przy okazji pogłębić wiedzę o historii i kulturze ojczystego kraju, a może ukochać góry na całe życie.

Mówiąc o jubileuszowym rajdzie nie można nie wymienić kierowników tych, które się odbyły tj.:

1959 i 1960 roku – Lechosław Fularski;
1961, 1967-69, 1971-80 – Stanisław Nowicki
1962, 1970, 1981 – Adam Chyżewski
1963 – Zbigniew Marszałek
1964 – Marek Trombski
1965 – Ryszard Kopka
1966 – Jędrzej Lelonkiewicz
1982-83, 1998 – Romuald Zieliński
1984 – Bohdan Andrzejewski
1985-86, 1989-90, 1992 – Przemysław Wojciechowski
1987-88 – Witold Opasewicz
1991 – Zdzisław Hibszer
1993-97 – Wanda Świątczak

Czterdzieści rajdów za nami – czy będą dalsze? Na pewno! Bo Góry Świętokrzyskie w jesiennej szacie są piękne, a wędrowanie po nich to sama przyjemność i zdrowie.

Stanisław Nowicki

JAK MIŁE SĄ WSPOMNIENIA Z DAWNYCH LAT, Z DAWNYCH DNI.

Ze wspomnień lekarza rajdowego



Jest rok 1958, jestem po studiach, mam już obydwa stopnie specjalizacji, urlop przed sobą, ale co z nim mam zrobić. Nasza przedwojenna grupa koleżeńska rozjechała się po całej Polsce. Hanka jest w Warszawie, Tadek we Wrocławiu, Adaś w Krakowie. Ja tu, gdzieś na Mazurach. Odświeżam w pamięci nasze wycieczki w Gorce, Pieniny, Tatry. Wakacje 1938 roku i cały czas pobytu z rodziną Kotulów na trwale wpisał się do mej pamięci. Było tak uroczu, góry takie piękne. Przypominam sobie pierwszą wędrówkę po Tatrach i pierwszy nocleg w starym schronisku w Morskim Oku. Stary gazda w pięknym góralskim stroju wskazał nam miejsce na słomie i zwrócił się do chłopców:

"Juhasi weźcie dziouchy do środka, aby im nie podwiwało". Jestem zauroczona górami, że nie mogę zasnąć. Pochrapywanie w izbie nie przeszkadza mi we wsłuchiwanie się w cudowną ciszę górskiej nocy. Przyjaźnie mrugają do mnie gwiazdy. Rano idziemy znowu w góry, jestem zła, bo chciałam zapisać się do PTT, ale nie mogę, gdyż nie mam 18 lat. Pocieszam się, że w przyszłym roku będę już dorosła i zrobię co będę chciała. Ale rok 1939 jest wrogo nastawiony nie tylko dla mnie. Jest wojna. Mijają znów lata – studia, praca, praca, praca i dalsza nauka. Teraz mam znowu chwilę czasu – co zrobić z urlopem? Na dyżurze w szpitalu rozmawiam z koleżanką, przezywamy ją "Pszczółka", która mi mówi: jedziemy z mężem w Sudety, jedź z nami, pochodzimy po górach. Dodaje jeszcze, ale z plecakami. Jadę więc razem z Chmayami. Pod

koniec wędrówki wiem, że w przyszłym roku pojedziemy znowu razem w góry. Cieszę się, że mam już odznakę GOT. Wyczytuję w gazecie, że łódzki PTTK robi rajd w Góry Świętokrzyskie. Tam jeszcze nie byłam. Znów zabrakło mi towarzyszy. Idę więc sama. Tak, pójdę sama na ten rajd.

W PTTK zgłoszenia przyjmuje Krysia Hadrowicz, ale jej jeszcze bliżej nie znam. Widzę, że jest przyjaźnie nastawiona, więc się jej zwierzam, że nikogo nie znam. Na to Krysia: to pani pozna wiele osób. Rajd jest w końcu września, jest późny wieczór. Pada śnieg z deszczem, wieje zimny wiatr. Nie ma światła. Robi się smutno, głodno, chłodno a do domu daleko. Z pociągu wysiadła grupa osób z plecakami, nikogo jednak nie znam. Wśród grupy nieco starsza ode mnie pani, pełna humoru wita się z nami. Cześć Kaziu, cześć Władziu, cześć Jasiu. Jest kierownikiem grupy. Wyczytuje moje nazwisko, nieśmiało podchodzę do Niej, mówię, że jestem na rajdzie po raz pierwszy, nikogo nie znam i proszę, by mną pokierowała. Zaopiekowała się jak najlepsza siostra, jak matka – Nela Mączewska. Ułożyła mnie na słomie tuż przy sobie, poczęstowała herbatą. Rano zaproponowała, że pojedziemy jeszcze po kolegów, którzy przyjechali późniejszym pociągiem. Nie chcę Jej przeszkadzać, dam sobie radę, ale Nela mówi: poznanie się, jak zechcecie chodzić razem, to pochodzimy. Rzeczywiście, jak się poznaliśmy z Irką i Leszkiem, przechodziliśmy razem wszystkie góry od granicy zachodniej do wschodniej. Tatry Polskie i Słowackie. Oczywiście na następny rajd Łysogóry jesteśmy umówieni. Zaczynam pomagać obsłudze trasy, czasami coś potrzeba z mojej apteczki, nie lubię się jednak ujawniać zawodowo. Wychodzimy kiedyś na trasę z kilkuminutowym opóźnieniem. Kierownik trasy czeka na nas niezadowolony, po prostu ruga nas za to. Myślę sobie, że nigdy z nim na żaden rajd, na żadną trasę z tym "paskudnym chłopem" nie pójdę. Ale teraz po tylu wspólnie przebytych rajdach umawiamy się z kolegą Zygmuntem, że w Św. Katarzynie" twój pokój będzie 20, a mój 19 i czuj się zaproszony na kawę". On – weryfikacja, ja – lekarz rajdowy. Zawsze mamy

ciekawe tematy do rozmowy, do wspomnień i jest nam miło zawsze się spotykać.

Po kilku rajdach przychodzi mi chęć bycia przodownikiem GOT. Mam już wymagane odznaki turystyczne. Biorę udział w szkoleniu przodowniczym. Staję do egzaminu. Komisja egzaminacyjna wyciska ze mnie wszystkie szczegóły i szczególiki wiedzy turystycznej. No, ale trzeba również zapytać o udzielanie pierwszej pomocy w wypadkach. Pytanie sformułowane jest "po laicku", z radością wpuszczam komisję egzaminacyjną " w maliny". Pierwszy orientuje się w sytuacji przewodniczący komisji i pyta ostrożnie, jaki jest mój zawód, mówię więc : chirurg. Śmiejemy się wszyscy razem. Jestem przodownikiem GOT i od tej pory będę mogła prowadzić grupy na rajdach.

Na każdym rajdzie ma miejsce jakiś wypadek, przydaje się moja podręczna apteczka i wiadomości zawodowe, przechodzę więc z czasem na lekarza rajdowego. Prawie co roku kilka dni wiosną i jesienią spędzam na rajdach w Łysogórach. Kiedyś szykując się na kolejny rajd siostra mówi: byłaś już tam z dziesięć razy. Stanowczo zaprzeczam: o nie, jadę już na trzydziesty któryś. Siostra wymownie puka się w czoło, ja złośliwie odpowiadam, że jeden lubi ogórki, inny ogrodnika córki.

Kiedyś na rajdzie jest telefon, że na trasie był wypadek, coś z nogą, chłopak nie może chodzić. Jedziemy z Jasiem Głapskim na miejsce, gdzie znajdował się chłopiec. Istotnie jest podejrzenie złamania podudzia. Jedziemy więc do szpitala do Kielc. Przyjmuje nas sam pan ordynator urazówek, gdy zobaczył nas mówi: a to pani doktor z łódzkiego rajdu. Wita mnie jak starą bywalczynię. Pan docent Leydo ukończył Akademię Medyczną w Łodzi, ale nie znaliśmy się na studiach. Po założeniu gipsu odwieźliśmy chłopca do schroniska w Św. Katarzynie, następnego dnia jest już koniec rajdu, zabieramy go do nyski i jedziemy do Łodzi, odwozimy go do domu. Rodzice oczywiście zaskoczeni, zmartwieni, ale zadowoleni. Chłopiec leczy się dalej u mnie w przychodni. Po 2-3 latach telefon do mnie do pracy, czy pamiętam Waldka, który na rajdzie złamał sobie nogę? Pamiętam, odpowiadam. Po pewnym czasie puka ktoś do

mego gabinetu, wchodzi młody mężczyzna, z uśmiechem zapytuje, czy go poznaję – owszem poznaję – to Waldek. Jest mi zawsze niezmiernie miło, gdy ktoś szuka u mnie pomocy. Zdarzało się to wielokrotnie.

Znów mamy jesienny rajd. Szykuję więc apteczkę, swoje bagaże i mojego psa-turystę. Obładowana idę po peronie na dworcu Kaliskim, nagle ktoś podbiega do mnie, wyrywa bagaże z rąk i biegnie z nimi w siną dal wzdłuż czekającego pociągu. Ach, to ten Lada C-o, czyli Czarek Lada i Janek Nowak, nasze PKP-cie, porwali moje bagaże i niosą do przedziału z nalepionym na szybie napisem "Kierownictwo Rajdu". Zanim doszłam, ułożyli mój bagaż i popędzili odprawić pociąg. W przedziale zostałam sama. Pociąg ruszył, miarowy stukot działa usypiająco, trochę drzemię. Nagle w uchylonych drzwiach pojawia się gęsta czupryna i młody chłopiec, uczestnik rajdu, zapytuje czy mogą usiąść, bo chcą coś zjeść. Jest ich trójka. Dziewczyna rozkłada śniadanie i skarży się, że już nie ma wody do umycia rąk. Jeden z chłopców obserwuje mnie, zwłaszcza przypiętą plakietkę z napisem "Lekarz Rajdu" i odpowiada zalotnie patrząc mi w oczy – "częste mycie skraca życie" – tak, odpowiadam – "skóra się zdziera i człowiek umiera" – salwa śmiechu. Znajomość zawarta. Chyba przy pomocy czarodziejskiej różdżki pojawia się cały tłumek młodzieży. Jedno przez drugie ma coś do powiedzenia. Sypią się powiedzonka: "brudne uszy raj dla duszy", "brudna szyja szczęściu sprzyja", "kto się często myje, ten krótko żyje", "brudne nogi – spokój błogi", "mycie nóg zdrowia wróg", "kto się nie myje, ten długo żyje", "mądrzy ludzie żyją w brudzie", "tylko wazelinarze myją ręce i twarze", "prawdziwy turysta z mydła nie korzysta". Przy każdym powiedzonku śmiech, śmiech, śmiech. Rozmawiamy na różne tematy. Czuję się jak równolatka, chociaż moich lat starczy na 3 lub 4 młode dziewczyny. Tuszy – na dwie. W przedziale już nie ma wolnych miejsc, siadają sobie na kolana. Jedzą, śmieją się, dowodzą. Śniadanie skończone, resztki chcą wyrzucić przez okno. Muszę ich znowu pouczyć, aby byli oszczędni, bo wszystko drogo kosztuje, więc

mówię – "jak się ma zmarnować, lepiej zjeść i odchorować", znów śmiech. Jedziemy jeszcze chwilę, pociąg staje na stacji – już Kielce. Ta podróż trwała chyba kilkanaście minut. Nie – to tak szybko i wesoło minął czas. Do zobaczenia w drodze powrotnej. Tylko nie sprawiajcie kłopotu, nie chcę żadnych wypadków na trasie – upominam. Machamy sobie ręką na pożegnanie. Baj, baj, baju – a będziecie w Raju?, ale jaskini – pytam, bo znam przebieg ich trasy. Tak, atak – śmieją się i odchodzą.

W 1984 r. Jedziemy z "Kosówką" do "Muflona". Jest połowa listopada. Pada pierwszy śnieg. Puszyste, białe czapy pokrywają drzewa i góry. Ja nie mam ochoty, nie, ochotę mam, ale nie mam już siły, z wyrypiarzami gonić po szlaku, zwłaszcza, że idą trasą mi znaną. Dla mnie już za ciężką – czarnym szlakiem przez Wolarza. Namawiam więc Stasia, o którym wiem, że jest po poważnej operacji onkologicznej nie powinien forsownie chodzić. Wysilek mógłby zaszkodzić jego zdrowiu, a nawet życiu. Proponuję więc, byśmy wolno, spacerkiem pochodzili w pobliżu schroniska. Pogoda jest coraz ładniejsza, zza chmur wyziera słońeczko i rozjaśnia okolicę. Krajobrazy piękne. Umawiamy się, że Staś prowadzi, ja robić będę zdjęcia. Idziemy bez szlaku drogami leśnymi, rozmawiamy, idziemy, idziemy. Mija jedna godzina, potem druga, kluczymy wśród drzew, mówię więc do Stasia, że zbłądziliśmy i wkrótce dojdziemy do czeskiej granicy. Idziemy dalej, dalej. Istotnie po 30 - 40 minutach widzimy tablicę z napisem – "strefa nadgraniczna". Kierujemy się na wschód, znowu idziemy, idziemy. Spoglądam z niepokojem na Stasia, jak się czuje, widzę, że pobladł i jest zmęczony. Oblatuje mnie strach, co będzie jeśli zasłabnie. Idziemy jednak stale ku wschodowi. Mówię, że wkrótce dojdziemy znów do granicy, ale radzieckiej. Stasio śmieje się i pociesza mnie. Denerwuję się coraz bardziej, Staś to spostrzega, ale przyjmuje, że gniewam się na Niego, że zbłądziliśmy. Ja jednak myślę tylko o Nim, aby się jemu nic nie stało. Wreszcie spostrzegamy myśliwego. Staś z ujmującym uśmiechem podchodzi do niego i zapytuje gdzie jesteście. Myśliwy odpowiada: "gdybyście państwo byli

grupą młodzieżową, pokazałbym w przeciwnym kierunku, ale wam powiem prawdę do Zieleńca macie 4 godziny drogi, do Polanicy 3 godziny. Pokazał nam kierunek, dziękujemy i odchodzimy we wskazanym kierunku. Jest już dobrze po południu, wkrótce zapadnie zmierzch.

Po pewnym czasie dochodzimy do czarnego szlaku prowadzącego przez Wolarza, przez który tak nie chciałam przejść, jeszcze teraz o zmroku. Ale trudno, idziemy, nie możemy sobie pozwolić na inną drogę. Boję się o Stasia, co zrobię jeśli zasłabnie. Przewiduję wszystko, najgorsze. Staś się denerwuje, że ja się na niego gniewam, bo źle prowadził. Niech tak myśli, to lepsze dla niego. Idę i rozważam słowa myśliwego: "gdybyście byli grupą młodzieżową pokazałbym inny kierunek". Przed kilkoma miesiącami, też zimą,

była tragedia na Pilsku, gdzie tragicznie zginęło kilku uczniów, którzy zbłądzili na trasie. Był tam również myśliwy, którego pytali o drogę, a jak im pokazał inny kierunek, młodzież poszła jak im wskazano, z wyczerpania nie mogli iść i zginęli? Denerwuję się tak bardzo, że nie czuję zmęczenia. Tylko co zrobić, co zrobić. Idziemy coraz wolniej, aby dalej, dalej. Wreszcie o radości, w dali błyskają światła, dochodzimy do "Muflona". Wszyscy na nas czekają i niepokoją się. Jest godzina 21, gdy po krótkim i nie męczącym (10-godzinny) spacerku wróciliśmy do schroniska zmęczeni, ale zdrowi. I spełniły się słowa – "kto bez szlaku chodzi, późno do domu przychodzi".

Zofia Keppe

KAPLICZKA NA BUKOWEJ GÓRZE

Ze schroniska w Świętej Katarzynie wyszedłem wcześniej rano. Był wrzesień 1989 roku. Trwał XXXI Ogólnopolski Rajd w Górach Świętokrzyskich – Łysogóry-Jesień'89.

Obrałem kierunek przez Ciekoty w stronę Bukowej Góry. Patrzyłem na jej długi zalesiony grzbiet, na górę, którą utrwalił Stefan Żeromski w "Echach leśnych". Zacząłem, któryś tam raz w ciągu tych lat wędrowania, wyobrażać sobie, jak młody Stefan szedł do szkoły w Psarach Starej Wsi, przez piękną Dolinę Wikowską w kierunku tej góry.

Szedłem i ja przez tę dolinę aż do Klonowa i dalej żółtym szlakiem na Bukową Górę. Dotarłem do skałek piaskowca i dalej zielonym szlakiem w kierunku wschodnim. Wiedziałem, że po kilku

minutach dojdę do drewnianej kapliczki, przy której były podobno mogiły powstańca z 1863 roku i partyzanta AK z 1943. Młodzież łódzka nie raz

składała tu kwiaty podczas rajdów Łysogóry-Jesień, organizowanych przez nas od 1959 roku.

Nie byłem w tym miejscu już kilka lat i teraz przy pięknej słonecznej pogodzie wędrowałem samotnie tylko z myślami o Żeromskim i o bitwie w 1863 roku, opisaną przez niego w "Echach leśnych". Szedłem przez piękny, bukowy las i na małej polanie zobaczyłem bardzo zniszczoną, prawie walącą się kapliczkę. Zatrzymałem się zaskoczony tym widokiem. Wtedy zawitała do mnie myśl, że trzeba odbudować tę ulubioną przeze mnie kapliczkę.

Nadarzyła się oto okazja, by łódzcy turyści, chroniąc dobro kultury ludowej, utrwaliли jeden z elementów krajobrazu świętokrzyskiego. Budowę poprowadziliby "łódzcy górale", którzy poprowadzili w Góry Świętokrzyskie już więcej niż osiemdziesiąt tysięcy turystów, z czego około 80% to była młodzież.

Moja "myśl" odbudowy walącej się kapliczki została przyjęta z dużym entuzjazmem przez kolegów i kierownictwo rajdu. Już następnego dnia waląca się kapliczka została pomierzona i wykonano jej szkic inwentaryzacyjny. Wraz z Edmundem Witkowskim - przewodniczącym Komisji Turystyki Górskiej Łódzkiego Oddziału PTTK oraz Zygmuntem Stachowiczem -



przewodniczącym Terenowego Referatu Weryfikacyjnego GOT, ustaliliśmy, że odsłonięcie i poświęcenie kapliczki odbędzie się za rok, we wrześniu, podczas Rajdu Łysogóry-Jeśień'90.

Wszyscy byliśmy ciekawi historii kapliczki. W Przewodniku z 1977 r. Tymoteusza Wróblewskiego znaleźliśmy o niej lakoniczną wzmiankę: "Tworzy ją stary interesujący słup dębowy z niewyraźnym napisem, pokryty daszkiem; u stóp kapliczki mogiła partyzancka z 1943 r..."

Mundek Witkowski i Romek Zieliński wyruszyli więc, każdy do innych Psar, wsi leżących na zboczach Bukowej Góry. Podczas rozmów ustalono, że polanka, na której stoi kapliczka nazywa się "Obrazik". Niedaleko tego miejsca jeszcze w 1943 roku rosła wspaniała, olbrzymia jodła, wychodząca ponad wierzchołki otaczających ją drzew. Nazywano ją "Matką Bukowej Góry". Na tym drzewie powieszona była mała kapliczka z datą 1918 r. Pewien sędziwy mieszkaniec wsi Psary Podlesie wspominał, że jeszcze jako chłopiec wdrapywał się tę jodłę po jaja jastrzębi, które gnieździły się na niej. Na gałęziach wisiały suche żmije, które jastrzębie zносиły młodym. Z wierzchołka jodły widać było całą okolicę, przy dobrej zaś pogodzie "nawet Warszawę". Były to zapewne Kielce, które młodzińcza wyobraźnia zmieniła w stolicę Polski. W latach wojny partyzanci AK mieli tu swój punkt obserwacyjny, a jednocześnie jodła widoczna z daleka była dla nich drogowskazem.

W 1943 roku została ścięta przez mieszkańca jednej z okolicznych wsi. Partyzanci kazali mu za to zapłacić wysoką grzywnę wartości 4 morgów pola oraz polecieli wybudować kapliczkę na polanie Obrazik.

Inna legenda głosi, że na szczycie Bukowej Góry, na małej leśnej polanie stała spróchniała i szerniała od deszczu drewniana figura z wrytą datą 1812 r. To tu dziewczyna, przeganiając przez górę bydło, spotkała siedzącego na gałęziach żołnierza spod znaku Napoleona. Nakarmiła go kawałkiem sera, który miała w węzélku. Stary wiarus wyznał jej, że życie swe Polsce i Matce Boskiej ofiarował. "Potem uklęknął, wziął w obie ręce medalik Panienki Częstochowskiej, co mu na szyi wisiał i modlił się.....cichy szept modlitwy zamarł. Z oczu umierającego spłynęły wolniutko i

spadły na trawę, niby paciorek za paciorkiem duże kropliste łzy."

Przetrwiała też legenda o Tomku Łakomcu z Klonowa, który ściął duży buk z ołtarzykiem Matki Boskiej. W kapliczce tej znaleziono obrazek święty, ukryty przez dowódcę oddziału powstańczego 1863 roku i jego, opodał mogiłę. Może od tego obrazka wywodzi się ludowa nazwa polanki "Obrazik".

Starsi mieszkańcy okolicznych wsi i pobliskiego Klonowa wspominają, że w 1944 r. stała na polance Obrazik kapliczka w takiej postaci jak obecna, odbudowana w 1990 r.

Prowadzenie całości spraw związanych z odbudową kapliczki powierzono "Kosówce". Uzyskanie funduszy na to przedsięwzięcie dzięki dobrowolnym składkom turystów łódzkich, młodzieży jubileuszowego XXXV Rajdu Łysogóry Wiosna '90, członków Kosówki oraz zaprzyjaźnionego Klubu Górskiego "Świstak" Oddziału PTTK Łódź-Polesie, pozwoliło na rozpoczęcie prac.

Kolega Zdzisław Hibszer wykonał z własnej inicjatywy piękny model kapliczki w skali 1:10. Model ten prezentowano w Warszawie w czerwcu 1990 r. na XII Zjeździe Krajowym PTTK i we wrześniu w Opolu podczas IV Kongresu Krajoznawczego. Ta prezentacja przyczyniła się do zebrania dalszych funduszy. Dzięki przychylnemu stosunkowi do przedsięwzięcia prezesa ZG PTTK kol. A. Gordona oraz wiceprezesa kol. A. Chyżewskiego część pieniędzy otrzymano z funduszu promocji programowej ZG PTTK.

Prace fizyczne związane z odbudową kapliczki ruszyły w maju 1990 roku. Jako prowadzący odbudowę, już w marcu wspólnie z Przemkiem Wojciechowskim rozpocząłem rozmowy w Nadleśnictwie w Zagnańsku. Dzięki wyjątkowej przychylności inż. Lucjana Wesołowskiego, nadleśniczego Stanisława Krochmala i leśniczego w Klonowie Dariusza Zbroszczyka dokonano już w maju wyboru i zakupu drewna na kapliczkę. Odpowiednią jodłę znaleziono pod Łysicą, Nadleśnictwo ufundowało ławki.

Cieśla Zygmunt Zych z Klonowa, były partyzant, wraz z synami i kolegami wykonywał części do kapliczki i gonty.

Przyjeżdżaliśmy z Andrzejem Wielgopolanem uzgadniać sprawy techniczne i dostarczaliśmy materiały impregnujące, farby i narzędzia z Łodzi.

Montaż kapliczki na polanie Obrazik zakończony został 12 lipca. Gdy z Andrzejem zobaczyliśmy pierwszy raz "naszą kapliczką", a na niej wiechę, wzruszeni padliśmy sobie w ramiona, a mnie zakreśliły się łzy w oczach. Pracując po 12 godzin, pomalowaliśmy ją pierwszą warstwą konserwującą. Na początku sierpnia Zdzisio Hibszer osadził rzeźby w głównym słupie, a Jurek Wojnarowski wraz ze mną pomalował kapliczkę drugą warstwą, ze starej kapliczki pozostał kuty krzyż, który jest osadzony na szczycie dachu nowej. Cieśla Z. Zych przechowuje w Klonowie stary słupek kapliczki. Zdjęty z niego obrazek z Matką Boską został przekazany księdzu proboszczowi w Psarach Starej Wsi.

W starym słupie były różne wgłębienia, nikt jednak nie pamiętał co w nich było. Umieściliśmy więc w nowym słupie rzeźby według moich projektów. Wykonane zostały przez ludowego rzeźbiarza z Bodzentyna - Henryka Dyka. Ułożona rzeźba przedstawia replikę mozaiki Matki Boskiej z kapliczki na Wykusie, wybudowanej w miejscu, gdzie stał namiot "Ponurego", pod rzeźbą umieszczona jest data 1990. Na bokach słupa znajdują się rzeźby - symbole dwóch zdarzeń związanych z Bukową Górą tj. z powstaniem styczniowym 1863 roku i partyzantami AK z 1944 roku. Z tyłu słupa nad osadzonym tam krzyżem jest wyrzeźbiony herb Łodzi i litery PTTK. Całość otoczona jest płótkiem z furtką. Od jej strony umieszczone są ławeczki wykonane z okraglaków. Obok kapliczki pod bukiem ustawiony jest kamień sprowadzony tu z południowego stoku Bukowej Góry. Wygląda jednak tak, jakby się tu "urodził".

W dniu 28 sierpnia Zdzisio Hibszer i Janek Chlebowski przytwierdzili do niego tabliczki z następującym napisem:

"Na cześć i chwałę Maryi Królowej Gór Świętokrzyskich, w 40-lecie Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego z
Posłowie

Wśród nielicznych turystów końca lat pięćdziesiątych była młodzież łódzka i niewiele starsi przodownicy i organizatorzy pierwszych rajdów

woli Klubu Turystów Górskich "Kosówka" Łódzkiego Oddziału PTTK Kapliczkę tę na nowo wzniesiono sumptem miłośników Puszczy Jodłowej - wrzesień 1990."

Uroczyste odsłonięcie i poświęcenie kapliczki odbyło się podczas Ogólnopolskiego Rajdu Łysogóry Jesień '90, w samo południe dnia 22 września 1990 roku. Ze wszystkich tras nadciągali uczestnicy rajdu na Bukową Górę. Przyjechało wielu zacnych gości, swoją obecnością podkreślili, że doceniają i popierają piękny pomysł łódzkich górali, obrócony w owocny czyn. Byli wśród nich: przedstawiciel wojewody łódzkiego, dyrektor Wydziału Infrastruktury Społecznej Urzędu Wojewódzkiego - Jacek Danowski, prezes Zarządu Głównego PTTK - Andrzej Gordon, wiceprezes ZW PTTK w Łodzi - Alicja Tomsa, kierownik biura ZW PTTK w Łodzi - Andrzej Danowski, przedstawiciel ZW PTTK w Kielcach - Andrzej Rembalski, przedstawiciel Ministerstwa Obrony Narodowej - Bogdan Wilczyński, dyrektor szkoły podstawowej w Psarach - Bogdan Wójcik, a także proboszcz parafii w Psarach Starej Wsi - Ireneusz Zych. Byli prawie wszyscy twórcy i wykonawcy kapliczki, która została poświęcona nietypowym kropidłem zrobionym z gałązek jodły (ksiądz zapomniał zabrać właściwe). Wokół kapliczki posadzono 6 jodeł.

Tak więc kapliczka na nowo wzniesiona sumptem miłośników i obrońców przyrody będzie dla wszystkich przypomnieniem wspaniałych myśli Stefana Żeromskiego o puszczy jodłowej:

"Puszcza królewska, książęca, biskupia, świętokrzyska, chłopska ma zostać na wieki wieków, jako las nietykalny, siedlisko anachoretów, wielki oddech ziemi i żywa pieśń wieczności!"

"Puszcza jest niczyja - nie moja ani twoja, ani nasza, jest boża, święta!"

Lechosław Fularski

Łysogóry Jesień, członkowie Klubu Turystów Górskich.

"Prawdziwi turyści, dla których nie ma cudowniejszego podręcznika niż nasza piękna, ojczysta ziemia. Ziemia, która w przedziwny

sposób uczy nas miłości, szacunku, silnie wiąże z tradycjami" - To piękne słowa prezesa ZG PTTK Andrzeja Gordona.

Zostaliśmy zauroczeni Górami Świętokrzyskimi, do których przez lata się wracało, na te same ścieżki, te same szlaki turystyczne, wiodące przez jesienne, uporządkowane pola z równymi oranymi redlinami i na ścieżki leśne pachnące jesienną brzozą, liśćmi, wrzosami na polanach. To zauroczenie trwa mimo upływu wielu lat. Bo to są nasze "Kosówkowe" góry.

Był 31 już rajd jesienny, kiedy to Leszek Fularski po raz n-ty wędrując tym samym jesiennym, zielonym szlakiem na Bukową Górę dotarł do urokliwego zakątka, polanki Obrazik. I tu został porażony widokiem szczytów, chylących się pod ciężarem lat, zapomnianej kapliczki.

Jak coś bliskiego sercu, wielokrotnie na wiosnę czy w jesieni spotykane, nagle może być utracone? Przecież to miejsce związane ze smutną historią, nie tylko ziemi kieleckiej, lata 1863, 1912, 1918, 1943. I pewnie w tej chwili jak błyskawica rozświetliła się myśl: odbudować, uratować!

Leszek znalazł natychmiast akceptację swego pomysłu przez Kierownictwo rajdu, przez członków Kosówki.

Nasz prezes zaangażował się duszą i sercem w budowę "naszej kapliczki". Rozpalił do ratowania kawałka kieleckiej historii, polskiej historii - całe swoje turystyczne otoczenie. Wiele godzin poświęcił Zarząd Kosówki i Prezydium ZO PTTK, na omawianie spraw finansowych, organizacyjnych związanych z odbudową kapliczki.

Wśród wielu nazwisk należy wymienić nazwiska najaktywniejszych. Są to: Leszek Fularski, Zdzisio Hibszer, Jan Chlebowski, Ryszard Mamenas, Adaś Sulikowski, Andrzej

Wielgopolan, Jerzy Wojnarowski, Przemek Wojciechowski i Zosia Zielińska.

Praca związana z odbudową kapliczki dała na pewno nie tylko poczucie dobrze spełnionego obowiązku, ale i dużo satysfakcji a nawet i wzruszeń.

W ramach Rajdu Łysogóry 90, zgodnie z planem, uroczyste odsłonięto i poświęcono kapliczkę.

Jak silny jest człowiek, jeden człowiek, który czegoś naprawdę pragnie. Leszku - chwała Ci za to umiłowanie Gór Świętokrzyskich.

Leszek opracował też broszurkę "Kapliczka na Bukowej Górze". Opis zrealizowanego pięknego zamysłu, kilka słów o samej Bukowej Górze, o legendach z nią związanych i skromnymi słowy jak w ciągu roku odbudowano kapliczkę na polanie Obrazik.

Prezes ZG PTTK Andrzej Gordon w przedmowie do broszurki w piękne słowa ujął jak..."każdy z nas ma swoje ulubione fragmenty Ojczystego Krajobrazu...

Z pewnością należą do nich Góry Świętokrzyskie.

Każdy kto choćby tylko raz się nimi zauroczył wraca do nich, otacza serdeczną troską, pamięcią.

Co więcej, pragnienie, aby zachować wartości tych krajobrazów łączy ludzi w myśli i w czynie. Najstarszy Klub turystów Górskich PTTK "Kosówka" z Łodzi dał temu wyraz odbudowując na polanie Obrazik kapliczkę.

Przez całe lata będą koło niej wędrować ludzie. Zatrzymają się przy niej z potrzeby serca.

Chwile refleksji, modlitwy i zadumy będą wiązały ich z piękną tradycją Jodłowej Puszczy."

Jolanta Grońska

RAJDY IMIENIA „WUJCIA”



Wzięło się to dziesiątego października 1992 roku. Ciemne chmury snuły się nad szczytami Beskidu Sądeckiego. Padał drobny deszcz. W takich to warunkach pogodowych wchodziłem, wraz z grupą kilkunastu turystów,

przez Parchowatkę na Łabowską Halę. Byli to członkowie Koła PTTK Nr 1 przy Biurze Studiów i Projektów Przemysłu Papierniczego w Łodzi, uczestnicy Rajdu Sądeckiego im. Aleksandra Siemiradzkiego „Wujcia”. Rajdy te, od 1983 roku, były organizowane przez Klub Turystów Górskich „Kosówka” oraz Koło Nr 1 przy Łódzkim Oddziale PTTK. Ten rajd był

jubileuszowym – dziesiątym. Podczas dziewięciu Rajdów „Wujcia”, które odbywały się zawsze w pierwszych dniach października, była piękna pogoda. Góry Beskidu Sądeckiego witały nas każdego roku przyodziane w piękną jesienną szatę. Złociły się i czerwieniły buki obok zieleni drzew iglastych. Z punktów widokowych można było oglądać ośnieżone szczyty Tatr. Teraz szliśmy na Łabowską Halę, bo tam miało odbyć się tradycyjne spotkanie, przy ognisku, wszystkich uczestników rajdu. Szliśmy dziwiąc się, że podczas Rajdu „Wujcia” może padać deszcz.

Naturalnie pogoda spowodowała, że spotkanie uczestników rajdu odbyło się nie przy ognisku, ale w jadalni schroniska na Łabowskiej Hali. Przywędrowali tu, między innymi, ze schroniska „Nad Wierchomlą” – członkowie „Kosówki” prowadzeni przez Jolę Grońską, z Piwnicznej – członkowie Koła PTTK Nr 1 pod przewodnictwem Stanisława Filarskiego, z Rytra zaś przyszli uczestnicy trasy młodzieżowej pod opieką Zygmunta Stachowicza.

Dziesiąty Rajd „Wujcia” rozpoczynał cykl imprez związanych z Jubileuszem 35-lecia Klubu „Kosówka”, przypadającym w 1993 roku. Nawiązując do tej rocznicy, wiceprezes Zarządu Głównego PTTK, Adam Chyżewski wspominał o Aleksandrze Siemiradzkim. Mówiło o jego zasługach związanych z założeniem i prowadzeniem Koła PTTK Nr 1 oraz Klubu „Kosówka”. Podkreślał osobowość „Wujcia”, która sprawiała, że kto raz z nim wędrował, stawał się zagorzałym turystą górskim. Kolega Adam mówił też o „Wujciu” jako partyzancie AK. Grupa „Tatara” działała w Beskidzie Sądeckim i często przebywała w okolicach Łabowskiej Hali. Dlatego też Rajdy „Wujcia” odbywały się w tych górach.

W dalszej części spotkania, będąc po raz dziesiąty kierownikiem Rajdu „Wujcia”, przedstawiłem krótką ich historię. Wręczyłem „Dyplomy za wytrwałość” uczestnikom co najmniej siedmiu rajdów. Za najaktywniejszy udział w organizacji rajdów nagrody książkowe otrzymało też dziesięć następujących osób: Zbyszek Bestecki, Jerzy Chojnacki, Stanisław Filarski, Jolanta Grońska, Andrzej Lesiński, Maria Lisowska, Vaclav Rinn, Zygmunt Stachowicz, Przemysław Wojciechowski i Joanna Ziemińska.

Zaprzyjaźniony z „Kosówką” turysta czeski Vaclav Rinn przyniósł gałązkę kosodrzewiny, z prośbą o złożenie jej przy tablicy z życiorysem Aleksandra Siemiradzkiego w Muzeum Historii Turystyki Górskiej na Jaworzynie Krynickiej. Zadanie to powierzono trasie młodzieżowej.

Postanowiono, że Rajd X był ostatnim Rajdem Sądeckim „Wujcia”. Następne rajdy październikowe będą nazywały się Rajdami „Kosówki” i odbywać się będą w różnych pasmach gór polskich.

Kiedy po spotkaniu wracałem do Piwnicznej niebo już się rozpogodziło, ja zaś rozpamiętywałem historię Rajdu „Wujcia”. Aleksander Siemiradzki zmarł w 1976 roku. Od 1958 roku towarzyszyłem w jego działalności turystycznej. Nic dziwnego, że boleśnie przeżyłem jego odejście. Będąc prezesem „Kosówki” zainicjowałem w 1983 roku rajd jego imienia. Terenem rajdu był jak wiemy Beskid Sądecki, w którym działał on jako partyzant i turysta. Dlatego też na znaczku pierwszego i dziesiątego rajdu widniał skrzyżowany ręczny karabin maszynowy z ciupagą. Na następnych były herby miejscowości Ziemi Sądeckiej. Rajd obliczony był na około 100 uczestników. Pierwszy liczył 123, a następne dochodziły do 200 osób. W dziesięciu rajdach wzięło udział ponad 1450 uczestników, 132 osoby były w kierownictwie rajdu oraz obsługach 69 tras. Najliczniejszy był VI Rajd w 1988 roku, który liczył 229 uczestników. Pierwszy rajd był prowadzony na pięciu czterodniowych trasach, VI zaś w 1988 roku na dziesięciu trasach. Trasy te obsługiwane były przez: Przemysława Wojciechowskiego i Dorotę Witkowską – trasa I, Andrzeja Lesińskiego – trasa II (obydwie trasy dla turystów z CSRS), Lechosława Fularskiego, Ewę Hankiewicz i Elżbietę Korczak – trasa III (dla turystów z NRD), Stanisława Filarskiego i Adama Arndta – trasa IV (dla członków Koła nr 1), Marię Więciorską – trasa V, Jurka Chojnackiego i Cezarego Ladę – trasa VI, Marka Jagurę – trasa VII, Jolantę Grońską i Janinę Zimowską – trasa VIII (dla członków „Kosówki”), Marię Lisowską i Wandę Kaczmarek – trasa IX i Stanisława Nowickiego – trasa X. Nazwiska te powtarzały się i podczas innych Rajdów „Wujcia”. Na przykład Jola Grońska i Maria Więciorska prowadziły trasy siedem razy, a Jerzy Chojnacki, Andrzej Lesiński

i Przemek Wojciechowski po pięć razy. Na Łabowskiej Hali dyżurował zaś wielokrotnie Zygmunt Stachowicz prowadząc punkt weryfikacji GOT. Uczestnicy rajdu, już podczas jego trwania, otrzymywali odznaki GOT. Kierownikiem wszystkich dziesięciu rajdów byłem ja, a za zastępców miałem Zbigniewa Besteckiego oraz Marię Lisowską.

Rajdy miały charakter międzynarodowy, bo brali w nich udział turyści z Czechosłowacji i z NRD z Akademii Nauk w Berlinie. Przykładowo w VI rajdzie z CSRS były 42 osoby a z Berlina 28 osób. Trasy dla nich były dłuższe, bo tygodniowe. Na przykład podczas IV Rajdu "Wujcia" w 1986 roku Czechosłowacy przekroczyli granicę w Chyżnym i wędrowali od Rabki przez Gorce i Pieniny do Beskidu Sądeckiego. Niemieckim turystom pokazaliśmy Kraków, a potem wędrowali trasą podobną jak koledzy z CSRS.

W Rajdach "Wujcia" brała też udział młodzież szkolna. Na przykład w IV rajdzie uczestniczyło 83 uczniów z Łodzi oraz 10-osobowa drużyna z Lublina. Podczas III Rajdu Sądeckiego w 1985

roku została uroczystie umieszczona w Muzeum Historii Turystyki Górskiej na Jaworzynie Krynickiej tablica z fotografią i życiorysem Aleksandra Siemiradzkiego. Podczas następnych rajdów uczestnicy tras przechodzących przez Jaworzynę Krynicką odwiedzali muzeum i składali wiązanek polskich kwiatów i traw. Tablica ta jest trwałym śladem po Rajdach "Wujcia". Nie był to jednak jedyny ślad. Rajdy te, poza tym, że pozwoliły uczestnikom poznać Beskid Sądecki, przyczyniły się do nawiązania więzi koleżeńskich. Uczestniczyli w nich bowiem licznie członkowie "Kosówki i Koła PTTK nr 1. Rajdy "Wujcia" stały się też świetną szkołą turystyki, bo wiele z tych osób brało udział w organizacji rajdów i w obsłudze tras. Rajdy te przyczyniły się do przybliżenia ich uczestnikom sylwetki Aleksandra Siemiradzkiego, szczególnie osobom, które go nie znały. Spełnione więc były zadania, jakie założyli sobie organizatorzy Rajdów "Wujcia". Niejeden jeszcze raz będziemy te rajdy wspominać.

Lechosław Fularski

KOSÓWKOWE "POWITANIE WIOSNY"



Topienie Marzanny symbolizuje walkę zimy z wiosną. Jest to przyspieszenie nadejścia radosnej pory roku. Wyzwolenie z okrutnej zimy. Nasi przodkowie wierzyli w utożsamianie się bóstwa z przedmiotem, który je wyobrażał.

Marzana, Marzena, Morzena, Marena... – bóstwo słowiańskie, groźna bogini śmierci i zimy. Jej nazwę wywodzą słowiańscy etymolodzy od

"mru", "moriu". Czy odeszła w mroki zapomnienia razem z Żywią – boginią życia, Pochwistem albo Pogwizdem – bogiem wiatru, Dziedzilią – boginią małżeństwa i z wieloma innymi mieszkańcami świętych gajów?

O zgrozo! Została jako bałwan pogański, kukła ze słomy uosabiająca zimę topioną w rzece lub strumieniu, by wartki nurt wody przyspieszył odpłynięcie zimy.

W starych dokumentach można odnaleźć nakaz dla duchowieństwa zawarty w uchwale synodu odbytego w Poznaniu w roku 1420: "Nie dozwalajcie, aby w niedzielę, którą zwie się Laetare (z łac. dosł. raduj się: nazwa czwartej niedzieli postu) albo Biała Niedziela odbywał się zabobonny zwyczaj wynoszenia jakowejś postaci, którą śmiercią nazywają i w kałuży topią."

W moich dalszych poszukiwaniach natrafiłam na ciekawą interpretację tego obrzędu, że topienie

Marzanny jest echem niszczenia pogańskich bożków, zaś obnoszenie Śmierci ma przypominać o zbawieniu po śmierci. Sama tradycja sięga jednak niewątpliwie czasów przed chrześcijańskich i wiąże się najprawdopodobniej z jakimiś magicznymi zabiegami u progu wiosny.

Uchwała poznańskiego Synodu nie dała oczekiwanych wyników.

Jan Długosz (1415-1480), znakomity historiograf, autor Kroniki sławnego Królestwa Polskiego odnotowuje, że za jego czasów w niedzielę zwaną Laetare wnoszono ze wsi bałwana umieszczonego na wysokiej tyce i topiono go w wodzie.

Joachim Bielski (ok.1550-1599), kronikarz pisze: "Za mojej jeszcze pamięci był obyczaj u nas po wsiach, że w Białą niedzielę w poście topili bałwana, jeden ubrawszy snop konopi albo słomy w odzienie człowiecze... wrzucali do wody, śpiewając żartobliwie: "Śmierć się wije u płotu, szukający kłopotu", potem co prędzej do domu od miejsca tego bieżali. Zwali tego bałwana Marzana".

Maciej Strykowski 1574→), historyk pisze w swojej Kronice polskiej: "W Wielkiej Polsce i w Śląsku dzieci w niedzielę Śródopostną, uczyniwszy sobie bałwan na kształt Ziewoniej albo Marzann, na wózku wożą, w rzekę z mostu wrzucają, a do domów co skok uciekają". Na początku XVIII wieku topienie Marzanny połączone było już z chodzeniem po włóczębnem. Zwyczaj ten z okolic Żywca opisuje Jędrzej Komonicki (ok.1664-ok. 1734). Współczesny nam etnolog i socjolog Jan Bystron (1892-1964) pisze w swej Etnografii Polski: "Do dziś dnia jeszcze tu i ówdzie zwyczaje te się utrzymały, jak na Podhalu, gdzie w Białą Niedzielę chodzą dziewczęta po wsi "ze śmiercią", tj. z lalką ubraną w białe płótno. Utrzymywał się też ten zwyczaj na Śląsku, tam obnosi się "marzankę" po wsi, a następnie topi ją w stawie". Obrzęd ten odprawiany jest w Niemczech nad Białą Elsterą w okolicach Lipska i w całych Czechach.

"Marzanno krasna,
radaś gęś paśla,
wczoraś groch warzyła,
kolanaś sparzyła,
dzisiaj w zimnej wodzie
leczysz go po szkodzie,

a do jutra rana już będziesz wygnana."

Tak śpiewają dziewczęta niosąc Marzannę. Po wrzuceniu kukły do wody należy szybko, nie oglądając się za siebie, bieć do domu, aby mieć szczęście przez cały rok. Wróżono, że ten, kto się przewrócił podczas ucieczki, będzie aż do następnej wiosny chorował. I tak Marzanna, i Śmierć, kukły ze słomy lub szmat, ubrane w kobiece szatki, umocowane na drągu kończyły swój żywot w nurcie wody często pokrytej jeszcze krą. To nieuchronny koniec zimy.

W ostatnich latach obrzędem topienia Marzanny zainteresowali się turyści z Kosówki. Jak zwykle to bywało, zwykły niedzielny spacer w wiosenny poranek. Wyrywamy się z miasta na kilka godzin obcowania z przyrodą. Wędrujemy wzdłuż pola z oziminą, przez łąki, skrajem lasu, gdzie na łozach kotki zaczynają się już srebrzyć, a zieleń żarnowca tylko patrzeć jak zażółci się kwiatami. Maszeruje Kasia Maciejewska z babcią Helenką, wnuki: Marta i Krzysz z Romkiem Zielińskim, jest i Staś Filarski, Halinka i Włodek Rakowieccy, Ela Korczak w rodzinnej gromadce z Julką, Łukaszem i ich rodzicami. Napotkana rzeczka płynie leniwie. Nagle Bóstwo słowiańskie natchnęło naszą gromadkę. "MARZANNA"! Kosówka będzie organizowała Rajdy "Powitanie Wiosny" z topieniem Marzanny. Pierwsze "Powitanie wiosny '92" odbyło się w Baryczy nad Grabią w niedzielę 22 marca 1992 roku. Prawdziwy, poważny rajd z kierownikiem Wł. Rakowieckim, sekretarzem Marysią Lisowską i kierownikami trzech tras:

1. – Romek Zieliński, 2. – Włodek Rakowiecki, 3. – Jurek Graczyk.

Jesteśmy znakomitymi organizatorami. Przecież za nami Jesienne Rajdy w Górach Świętokrzyskich prowadzone przez 39 lat rok po roku, tyle się tego uzbierało. Czy "Powitanie Wiosny" z topieniem Marzanny doczeka tak znakomitego jubileuszu? Ogłaszamy pierwszy konkurs Miss Marzanny 1992 i uroczyste jej topienie. Przewidziane są słodkie nagrody.

Następna Wiosna 1993 - Dobieszków. Do naszych wędrówek przyłącza się młodzież ze szkół podstawowych, harcerze. Każda drużyna przygotowała kukłę Marzanny i będzie z nią wędrowała miedzami wśród pól, łąkami, czasem przez wieś leżącą na trasie. Bo są już 4 trasy.

Kierownikiem rajdu zostaje na najbliższe sześć lat Elżbieta Korczak. Jej pomocnicy to: Adaś

Sulikowski, Jurek Graczyk, Włodek Rakowiecki i Staszek Filarski. W Dobieszkowie nad strumieniem, dopływem Moszczenicy młodzież topi swoje Marzanki.

"Powitanie Wiosny '94" odbyło się w Zgierzu-Malinie, a topienie kukieł w stawie przy Miejskim Ośrodku Sportu i Rekreacji. I tego roku młodzież otrzymała jak zwykle potwierdzenie zdobytych punktów na OTP i plakietkę rajdową. Był też Regulamin rajdu, opisy tras i mapka dla każdej drużyny, jest już i ognisko, śpiewy i dużo wiosennej radości. Do kierowania trasami dołączyła Wanda Świątczak.

Kolejne czwarte "Powitanie Wiosny", Chociszew-Radzibórz'95. Topienie Marzanny w Bzurze w okolicy wsi Radzibórz.

Jak tu nie wymienić liczby uczestników, jest ich już 241 i około 60 osób towarzyszących. W konkursie biorą udział 22 kukły. Pierwsze miejsce zdobywa Szkoła Podstawowa nr 2 z Ozorkowa, jest też odznaczone XXXI LO z Łodzi. Dużo radości, dyplomy, plakietki, bombonierki, mandarynki.

"Powitanie Wiosny '96" odbyło się w Rochnie, topienie Marzanny nad zalewem na Mrodzie w Rochnie.

Szóste "Powitanie Wiosny" w 1997 r. było w Swędowie. Uroczyste topienie Marzanny w Moszczenicy, wąskiej rzeczce z bystrym w tym miejscu nurtem. I znowu 3 trasy rajdowe. Pełno młodzieży ze szkół podstawowych w Łodzi i Konstantynowie. Przyjeżdża cały autokar z młodzieżą z Piotrkowskiego. Z roku na rok kukły są piękniejsze. Ponad 170 uczniów i dużo, dużo osób towarzyszących, członkowie naszej Kosówki z rodzinami, dziećmi i wnukami. Nie po raz pierwszy ze swoją lałą – Marzanną jest Julka

i Łukasz Twardowski z rodzicami, jest Ania z dziadkami Nowickimi, Kasia Grońska z tatą i z babcią, Kasia Maciejewska i wnuki Romka Zielińskiego. Dzieci szczęśliwe, żegnają odpływające rzeczką do morza "Marzanki" i mocno trzymają w ręku kolorowe plakietki.

Ognisko płonie, pieczemy kiełbaski, rozgrzewamy się herbatą, nierzadko "góralską".

W Jubileuszowym 40 roku istnienia Kosówki, "Powitanie Wiosny '98" odbyło się nad rzeką Grabią w Talarze przy starym młynie.

Każdy z wymienionych 7 rajdów miał Regulamin i skrupulatnie przez kolegów opracowane trasy, co umożliwiło młodzieży poznawanie okolic Łodzi. A fantazji w tworzeniu kukieł im nie brakowało. Były więc ze słomy, papieru materiału, wszystkie pięknie ubrane w kolorowe "mamusine" szmatki. I tej kolejnej Wiosny 98 wędrowała młodzież wesoła, rozśpiewaną gromadą, wysoko trzymając swoje Marzanny. Wszystkie trasy prowadzą do celu, którym jest łąka nad brzegiem szemrzącej wody. Kierownik kolejnego "Rajdu" ogłasza konkurs na najbardziej dorodną panienkę "Marzannę". I tak właśnie nasza "Kosówka" z udziałem młodzieży przyczynia się do utrzymania ciągłości ludowych tradycji. Kończy się tegoroczne żegnanie "okrutnej" zimy.

I Kosówkowi turyści, zostawiając za sobą rzekę, w małych zaprzyjaźnionych gromadkach spędzają resztę popołudnia w ciepłych gościnnych progach u Hanki na wspianym bigosie i cieście drożdżowym.

Jolanta Grońska

WYCIECZKI W CZAS MINIONY

Zamki, dwory i pałace



afascynowanie górami, nie przysłoniło "Kosówce" ciekawości najbliższego,

nizinnego świata. Wiosenne wycieczki w inny wymiar czasu, do zamków, pałaców i dworów Polski środkowej cieszył się dużym zainteresowaniem klubowych kolegów. Pierwszy wyjazd autokarowy pod koniec kwietnia 1993 roku zgromadził prawie 100 osób. Trasa tej wiosennej wycieczki wiodła z Łodzi przez Łęczycę, Tum, Walewice (łowickie) do Oporowa (kutnowskie). Spinały ją dwa średniowieczne zamki, w Łęczycy i w Oporowie.

Zespół zamkowy w Łęczycy powstał w XIV w., za panowania Kazimierza Wielkiego. Stanowił on fortyfikację obronną rozbudowaną w wieku XVI. Przechodząc różne koleje losu popadł w XIX w. w kompletną ruinę. Pozostałości zamku zabezpieczono w okresie międzywojennym a po II wojnie światowej dokonano jego odbudowy. Od 1949 roku znajduje się tutaj Muzeum ziemi łęczyckiej, które zwiedzaliśmy, najdłużej zatrzymując się na dziedzińcu wśród łęczyckich diabłów wyczarowanych z drewna przez ludowych rzeźbiarzy.

W pobliskim Tumie obejrzelśmy romańska kolegiatę datowaną na lata 1141-1145, wzniesioną z inicjatywy biskupa płockiego - Aleksandra. Kolegiata posiada rzadko spotykany w Polsce charakter obronny. Ma ona układ trójnawowej bazyliki. Kilkakrotnie niszczona, została odbudowana w XIV - XV wieku w stylu gotyckim, później wprowadzono do wnętrza elementy klasycystyczne. Wszystko to zatępiło pierwotny, romański charakter budowli, który przywrócono, w zewnętrznej formie, dopiero w czasie renowacji po II wojnie światowej, zachowując we wnętrzu akcenty gotyckie.

Rezydencja pałacowo-ogrodowa w Walewicach, łącząca w sobie elementy barokowe i klasycystyczne została zbudowana w 1783 r. wg. projektu architekta Hilarego Szpilowskiego dla szambelana króla Stanisława Augusta, Anastazego Walewskiego. Fronton pałacu ma czterokolumnowy portyk, nad którym znajduje się tympanon z herbem Pomian. Wnętrze pałacu, na początku XIX w. otrzymało wystrój klasycystyczny, z biegiem czasu zmieniła się funkcja sal reprezentacyjnych pierwszego piętra, urządzono tam pokoje mieszkalne i gościnne. Pewną kontynuacją tego zamysłu są obecnie

"apartamenty hotelowe". Dawny park francuski o regularnym założeniu z licznymi barokowymi i wczesnoklasycystycznymi rzeźbami przekształcono jeszcze za czasów Anastazego i Marii Walewskich w angielski park krajobrazowy. W obrębie posiadłości znajduje się stadnina koni, ich urodę i umiejętności mogliśmy podziwiać na wybiegu oraz w trakcie pokazów. Po miłym spacerze, przy pięknej pogodzie przemieściliśmy się do ostatniego na szlaku wycieczki miejsca, do rycerskiego zamku w Oporowie, jednego z najlepiej zachowanych obiektów budownictwa obronnego w Polsce. Został on zbudowany w latach 1434-1449, na sztucznej wyspie otoczonej fosą, przez Władysława Oporowskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego. Pomimo wielokrotnej przebudowy zameczek utrzymał swój gotycki charakter, a ostatnia restauracja w latach 1962-1965 odsłoniła pierwotne, stylowe cechy obiektu. We wnętrzach na uwagę zasługuje architektura komnat, gwiaździste sklepienia, polichromowane stropy modrzewiowe, bogaty portal gotycki wiodący do dawnej kaplicy. W 1949 r. otwarto

w zamku muzeum ilustrujące kulturę dworską, prowadzone przez długie lata przez kustosa Grażynę Majewską, która czyniła honory Pani na Zamku. Pozostając pod jej urokiem i przy jej pomocy weszliśmy w atmosferę zamku poznając jego historię i zakamarki. Wrażenie dopełnił wysłuchany koncert muzyki dawnej wykonany przez kwartet z Liceum Muzycznego w Łodzi oraz koncert szopenowski w wykonaniu Anity Krochmalskiej, profesora tejże szkoły.

Park okalający zamek był doskonałym miejscem odpoczynku dla uczestników wycieczki, którzy uwiecznili się na "rodzinnej" fotografii nad zamkową fosą.

Wycieczka ta zainaugurowała obchody 35-lecia Klubu "Kosówka".

W trzy lata później, również wiosną – w maju 1996 roku, pojechaliśmy na zachód od Łodzi, by zwiedzić dwór w Tubądzinie (sieradzkie), pałac myśliwski w Antoninie (kaliskie) i dworek w Ożarowie (wieluńskie).

Murowany, piętrowy dwór w Tubądzinie prezentował się okazale wśród zieleni i kwitnących róż. Postawiono go w drugiej połowie XVIII w., jego pierwszym właścicielem był kasztelan sieradzki Maciej Zbijewski. Dwór o

cechach klasycystycznych założony jest na planie prostokąta, nakryty polskim, łamanym dachem, ganek z dwiema kolumnami podtrzymującymi balkon zdobi front elewacji. W sto lat później majątek przeszedł w ręce Kazimierza Walewskiego, a następnie jego syna Kazimierza Stanisława. Zainteresowania historyczne ostatniego rezydenta zaowocowały zbiorem rodowych pamiątek, jego ozdobą są rodzinne portrety a także portrety "z epoki". Przekształcenie dworu w filię Muzeum Okręgowego w Sieradzu spowodowało utworzenie galerii portretów. Obecnie prezentowanych jest 110 płócien, które były własnością Walewskich. Stylowe meble, drobne przedmioty rękodzieła artystycznego uzupełniają wystrój wnętrz. W niewielkiej odległości od dworu znajduje się murowana oficyna z 1860 r., z gankiem i kolumnami, architektonicznie nawiązująca do polskich, parterowych dworców, pełniąca funkcje gospodarcze. Park założony w końcu XVIII w. miał cechy parku francuskiego.

Antonin to miejscowość wypoczynkowa, położona wśród lasów, z jeziorem i piaszczystą plażą. Jej walory musiał dostrzec także Antoni Radziwiłł, namiestnik Wielkiego Księstwa Poznańskiego, skoro zlecił Karolowi Frydrychowi Schinklowi wykonanie drewnianego pałacyku myśliwskiego, z zamiarem jego realizacji właśnie w tym miejscu. W 1824 r. powstała oryginalna architektonicznie, czterokondygnacyjna budowla na planie krzyża greckiego z ośmiobocznym korpusem, którego strop wspiera jedna kolumna z wbudowanymi kominkami ogrzewającymi przestrzeń. Sala i boczne skrzydła mają 3 kondygnacje. Siedząc w wygodnych, kawiarnianych fotelach na parterze można zobaczyć idące wokół galeryjki na poszczególnych kondygnacjach, skąd wchodzi się

do hotelowych pokoi. Jest to wspaniały, jeden z trzech w Europie, zabytek epoki romantyzmu, malowniczo wtopiony w rozległy, angielski park. Atmosfera tego miejsca zapewne spodobała się także Fryderykowi Chopinowi gościł bowiem w pałacu dwukrotnie, w 1827 i 1829 roku, komponując dla Radziwiłła utwór na wiolonczelę. Obecnie znajduje się tu małe muzeum poświęcone jego pamięci. Niedaleko pałacu można zobaczyć neoromańską kaplicę grobową Radziwiłłów, z I połowy XIX w., o bogatej dekoracji rzeźbiarskiej.

Modrzewiowy, alkierzowy dworek w Ożarowie wybudował w 1757 r. Władysław Bartochowski herbu Rola. Oryginalność architektoniczna bryły polegała na wprowadzeniu w narożniki budynku kwadratowych alkierzyków z daszkami namiotowymi, część główna była nakryta polskim dachem łamanym. W późniejszych latach dobudowano od frontu mansardę. Dworek był w prywatnych rękach do 1945r., po zniszczeniach odrestaurowany został w latach 1967-1980 i przeznaczony na muzeum wnętrz dworskich jako oddział Muzeum Ziemi Wieluńskiej. Wnętrze dworku urządzone z dużym wyczuciem epoki, robi wrażenie zamieszkałego, poprzez odpowiednie rozłożenie bibelotów, książek, damskich drobiazgów, kwiatów. O ciepło tego wnętrza zadbała kustosz Bogusława Wiliś. Tutaj także, na zakończenie wycieczki, wysłuchaliśmy w saloniku koncertu na skrzypce i fortepian, wykonanego przez absolwentki Akademii Muzycznej w Warszawie.

Obie wycieczki przygotowały merytorycznie i organizacyjnie autorki tego sprawozdania.

Maria Brojer i Elżbieta Królikowska

SYLWESTROWE NARTY



ok 1989. Zarząd Klubu postanawia zająć się wyjazdami zimowymi w okresie Bożego

Narodzenia i Sylwestra dla większej grupy klubowiczów. Pada na Marysię Lisowską, to ona ma się zająć organizacją. W kilka osób wybieramy lokalizację – **Dolina Chochółowska**. Trzeba tam pojechać, jeszcze latem, obejrzeć warunki lokalowe i omówić sprawę z

kierownictwem obiektu, wysłać pisma, by zarezerwować odpowiednią liczbę miejsc, jeszcze parę razy zadzwonić, by skorygować zamówienie w zależności od tego, ile osób zmieniło zdanie w sprawie swego wyjazdu, a ile wróciło do poprzedniego postanowienia, zebrać pieniądze i wysłać zaliczkę, a potem można już wyjeżdżać.

Jedziemy pociągiem i o piątej rano przyjeżdżamy do Zakopanego (ten pociąg nigdy się nie spóźnia). Teraz trzeba odczekać prawie dwie godziny i już wsiadamy do autobusu jadącego w stronę Kir. Od Siwej Polany trzeba iść pieszo. Mam na plecach wypchany wór, na ramieniu narty, w ręce torbę a za rękę ciągnę sześciolatniego Łukasza, też objuczonego nartami. Obok idą jego rodzice także z nartami i odpowiednimi bagażami. Idziemy na samym końcu grupy, a ręce moje sięgają prawie ziemi tak się wyciągnęły. Idąc zastanawiam się co wyrzucić: czy buty narciarskie czy butelkę szampana, a może zapasy jedzeniowe. Trudna decyzja. Włączamy się już z pół godziny, a tu jeszcze tyle drogi przed nami. Nagle za nami coś słychać, jakiś dziwny odgłos. Nasłuchuję i szeroki uśmiech rozjaśnia nie tylko moją twarz. To dorożka, która może dojechać pod samo schronisko. Z lubością walę na nią moje bagaże, sadzam dzieciaka na kozioł i to samo robią kolejni ludzie, gdy dorożka do nich dojeżdża. Na koźle sadowi się jeszcze Tatiana i karawana rusza do przodu. Tak pamiętam ten mój pierwszy Kosówkowy wyjazd na Sylwestra. Pogoda cały czas była mroźna i choć okolica wyglądała przepięknie, gdyż drzewa i trawy pokryte były szrenią, to śniegu do jazdy na nartach raczej nie było. Wychodziliśmy zatem w siedmioosobowym, głównie rodzinnym gronie codziennie rano ze schroniska i dźwigając narty i buty na plecach wędrowaliśmy przez dwie godziny na Wyżnią Polanę Chochołowską, gdzie był płat śniegu tak duży, że dawało się na nim zrobić ze cztery skręty.

Następnego roku pojechaliśmy na **Równicę**. Śniegu było nawet sporo, ale nie tam gdzie można jeździć. Wybraliśmy się nawet na przełęcz Salmopolską i przez kilka godzin trzymaliśmy na mrozie towarzyszące nam osoby. A potem zrobiła się odwilż, pod Czantorią u góry był lód, a na dole błoto i właściwie pozostały tylko spacer.

By być pewnym, że śnieg murowany odpowiednio grono podjęło decyzję, że następny wyjazd będzie do **Samotni**. Podejście od Wangu niezbyt ostre, wiele razy tam podchodziłam z obciążeniem (także narciarskim) i niezbyt szybkim krokiem zabierało to półtorej, maksimum dwie godziny. Do Jeleniej Góry dojechalśmy pociągiem, potem autobusem pod świątynię Wang. Zaczynamy podchodzić. Jak zwykle tworzą się małe grupki w zależności od kondycji. Nie jest źle. Dochodzimy do Polany Bronka Czecha i tu się zaczyna. Postępująca dewastacja drzew w Karkonoszach spowodowała, że Polana jest prawie zupełnie łyśa i przy wietrze słabo wyczuwalnym podczas wędrowki przez las tu szaleje huragan i zamieć. Idziemy powoli do przodu. Najpierw Waldek, z dwiema parami nart przypiętymi do plecaka, o dwa kroki za nim Łukasz i ja na końcu. Wiatr miota nami jak chce, narty dobrze wyłapują wszystkie podmuchy, chudy Łukasz zatacza się jak pijany a ja z trudem toruję sobie drogę bo ślady Waldka są już zawiane. Przejście przez polanę zajmuje nam prawie dwie godziny. Nie tylko my mamy kłopoty. Mały Jasio o mało nie zamarza, gdyż nieodpowiednio ubrany i nie chcąc sprawiać obcym kłopotu czeka, dygocząc z zimna, przez prawie godzinę na dużego Jana, pomagającego miotanej przez zamieć Tatianie, w podszytym wiatrem schronie na końcu Polany. Tatiana dociera do schroniska na skuterze śnieżnym posłanym na ratunek. Trzyosobowa rodzina Piotrowskich, która wybrała się z nami po raz pierwszy i niezbyt dobrze wybrała ubranie na drogę i wielkość bagaży, trzy razy usiłuje przejść przez Polanę. Nocuje w końcu na dole i podchodzi dopiero następnego dnia, gdy już nie wieje i wielkość bagaży zostaje zmniejszona przez rozładowanie do plecaków, z którymi zeszedli z góry pomocnicy.

Podejście to na zawsze utkwilo wszystkim w pamięci, ale narciarze nie narzekali, gdyż na Złotówce działał wyciąg i jeździło się wspaniale.

Potem był wyjazd do **Rytra**. Samochodowo-pociągowy. Przy powrocie ponad dwadzieścia stopni mrozu i niektóre samochody trzeba było rozmrażać, innym wystarczyło tylko paręsetmetrowe holowanie. Na narty dojeżdżaliśmy do Suchej Doliny i była nas tym

razem spora grupa, choć na nadmiar śniegu raczej się nie skarżyliśmy.

W roku 1993/94 na miejsce naszego zimowego wyjazdu wybraliśmy schronisko na **Klimczoku**. Wyjeżdżaliśmy w bezśnieżnej aurze autokarem. U stóp Klimczoka, gdzie nas wysadzono ze wszystkimi manelami zaczęły z nieba sypać pojedyncze płatki śniegu. I w rezultacie my na Klimczoku mieliśmy cały czas doskonałe warunki narciarskie, a wszędzie wokół było tylko błoto (sprawdzili to dokładnie nienarciarze, odbywający jak zwykle całodniowe piesze wycieczki w okolicy miejsca, gdzie w danym roku spędzaliśmy ten świąteczno-sylwestrowy okres). Z tego pobytu pozostało mi jeszcze jedno wzruszające wspomnienie. Otóż za każdym razem najmłodszy uczestnik naszego wyjazdu jest przebijany za Nowy Roczek, a któryś z panów za Stary Rok i o północy podczas balu sylwestrowego przekazują sobie władzę i składają wszystkim życzenia. Na Klimczoku Nowym Roczekiem była dwupółletnia Julka (oczywiście należąca do grupy narciarskiej). Dzielnie wytrzymała do północy i jeszcze potem uczestniczyła we wznoszeniu toastów przy ognisku i ślicznym bałwanie. Po powrocie do schroniska chciałam ją zabrać na górę i położyć spać, a tu słyszę: "Ciociu, ja chcę jeszcze trochę pobycć Nowym Roczekiem". I cóż było robić, z koroną na głowie i z szarfą na piersiach z napisem "1994" wróciliśmy do sali balowej.

Następnego roku miałam nie jechać z nie pamiętam już jakich powodów, ale tuż przed Sylwestrem żal się zrobiło i dojechaliśmy z Marysią i Janem do schroniska **Orlica** w Szczawnicy. Nart nie wzięliśmy, gdyż grupie tylko przez pierwsze półtora dnia udało się pojeździć, a potem już zupełnie nie było na czym. Przy domkach poniżej schroniska kwitły prymulki.

By być pewnym, że Sylwester będzie w śniegu, kolejny wyjazd 95/96 był do Zakopanego, na **Harendę**. Grupa piesza jak zwykle krążyła po okolicy, a narciarze dojeżdżali pod Nosal i tam szaleli na różnych stoczkach w zależności od umiejętności. Ponieważ Mikołaj już doskonale radził sobie na nosalowym stoku, postanowiłam zabrać go na Kasprowy. W Sylwestrowy poranek autokar dowiózł nas do Ronda, potem mikrobusem do Kuźnic i już staliśmy w

kilkusetosobowej kolejce do kasy. Nagle z drugiej strony siatki (tej dla osób z biletami) ktoś odzywa się, że ma do sprzedania dwa bilety na teraz. Reaguję natychmiast i już po chwili jedziemy z nartami na górę. Im wyżej tym bardziej biało i mniej widać. Po prostu mgła. Na górze osób wychodzących z nartami jest prócz nas jeszcze tylko troje czy czworo. Kasprowy pusty, takim go jeszcze nigdy nie widziałam.

Z powodu wiatru nie chodzą wyciągi krzeselkowe. Mgła przetacza się co chwila przez grań. Zaczyna w oczy śniegiem. Kocioł Gąsiennicowy usiany kopczykami poprzewiewanego śniegu. Chcemy przedostać się na Goryczkową, ale za zakrętem wiatr prawie zwała nas z nóg i jest znak, że droga zamknięta. Ja i Mikołaj wracamy na Gąsiennicową, reszta osób ryzykuje zjazd w dół. Trochę dziwnie się czuję; tylko nas dwoje na tej wielkiej przestrzeni, co trochę nic nie widać, bo mgła się przewala i ten wiatr wyjący w gogłach i szarpiący ubranie. Mikołaj rusza pierwszy i zaraz się wywraca na górze przewianego śniegu, ale szybko wstaje i ruszamy w dół. Trasa nie przejeżdżona, więc trochę za wysoko wyjeżdżamy i trzeba przedzierać się przez kosówkę. Zmęczeni, nieźle zawiani (śniegiem oczywiście), ale zadowoleni podjeżdżamy pod Murowaniec i wstępujemy na herbatę i szarlotkę. Odpoczywamy po zjeździe i przed podejściem. Znowu jesteśmy tylko we dwoje na nartostradzie. Musimy jechać ostrożnie, gdyż śniegu nie za dużo i zwłaszcza w niższej części wystają kamienie. Niby ponakrywane gałązkami świerku, ale ponieważ jest wąsko, trzeba cały czas być czujnym, bo brak miejsca na jakiś manewr. Dojeżdżamy do Kuźnic, a potem dalej na nartach aż do Ronda. Udało się zdążyć akurat na umówioną z resztą grupy godzinę powrotu autokarem do domu. Na Harendzie, przy kościele widać, że coś się dzieje. Wsiadamy wszyscy i idziemy zobaczyć. To ślub. Pan młody w góralskim stroju, panna młoda w raczej tradycyjnej, białej sukni, ale goście w większości po góralsku. Dużo atrakcji jak na jeden dzień, a tu jeszcze przed nami całonocny bal i jak co roku ognisko o północy, składanie życzeń, toasty szampanem i oczywiście petardy i race przygotowane już przez Łukasza i Mikołaja pod komendą Waldka.

Podczas naszych bali sylwestrowych, już tak nad ranem Romek występował zwykle z jakąś niespodzianką - przebieranką. Tym razem wystąpił w duecie z Basią ubraną w chałat, z pejsami i w mycce na głowie, nie do poznania. Sam przebrał się (jak zwykle zresztą) za panią. Śpiewali i opowiadali przedwojenne szmoncesy, bardzo nas rozbawili.

Mało kto z klubowiczów bywał zimą w Bieszczadach, więc 1997 rok postanowiliśmy powitać w **Cisnej**. Chętnych na wyjazd było tak wielu, że pojechały dwa autokary i jeszcze kilka prywatnych samochodów. Mieszkaliśmy w rozległym domu wczasowym nadleśnictwa. Cztery kondygnacje, przestronne, przeszklone korytarze, zakamarki i podesty, ale na zewnątrz - 30°C (słownie: minus trzydzieści). W pokojach zimno, woda w łazienkach położonych przy ścianach szczytowych pozamarzała w rurach. I za to wszystko **odpowiedzialna** jest oczywiście kierowniczką wyprawy - **Marysia**. Powinna przewidzieć, przy zamawianiu miejsc w maju, że będzie -30°C i taki dom, przy tak niskich temperaturach jest raczej niemieszkalny. Ale po wykupieniu w Cisnej i okolicy wszystkich termowentylatorów i osobistym nadzorze Marysi przy wlewaniu wrzątku od góry do instalacji wodociągowej, udało się doprowadzić obiekt do warunków, w których dało się przetrwać. Na narty jeździliśmy początkowo autokarem do Kalnicy, a potem uruchomiony został wyciąg niedaleko nas i chociaż na nieprzygotowanym, dość ostrym, lecz krótkim stoku wystawały spod śniegu zeszłoroczne badyle malin, jeździliśmy właśnie tam. Ze względu na niskie temperatury mieliśmy sporo kłopotu z ulepieniem bałwana na

sylwestrowe ognisko. Całe szczęście, że Marysia postanowiła się rozstać ze swą ukochaną czerwoną kominiarką, bo umożliwiło to uformowanie bałwanowej głowy. Bardzo się wszystkim ten bałwan w czerwonej czapeczce podobał.

Ostatni wyjazd sylwestrowy został zaplanowany do **Wisły**. Załatwienie i dogranie wszystkich spraw, zwłaszcza, że to wszystko ma być w miarę tanie, nie jest proste i wymaga czasem nawet dwukrotnego wyjazdu do wybranego miejsca, nie mówiąc o ilości rozmów telefonicznych jakie należy wykonać. I stało się. Takiego bezśnieżnego wyjazdu jak ostatni jeszcze nie było. Nawet nie wyjeżdżaliśmy z pokrowców. W noworoczny poranek na spacerze można się było opalać na hali siedząc na trawie. Dowodem są zdjęcia. Śnieg do jeżdżenia był tylko na Klimczoku, ale z Wisły-Czarne było to trochę za daleko. Dołączyłam więc do grupy pieszej. Wycieczki w większości prowadził jak zwykle Romek i niektóre były nawet za granicę. Nie było w tym roku bałwana przy ognisku, sami zresztą pamiętacie, bo to było niedawno.

Marysia na każdym wyjeździe zarzeka się, że to już ostatni raz organizuje taki wyjazd. Ale spróbujcie znaleźć kogoś lepszego i chętnego. A poza tym już zaczęła rozpytywać na Bukowinie i na Cyhrlu, czy nie ma tam dostatecznie obszernych lokali, aby banda z "Kosówki" miała gdzie spędzić następnego Sylwestra. Pewnie znowu będzie fajnie i miejmy nadzieję, że ze śniegiem.

Elżbieta Korczak

WYPRAWY DO CZECHOSŁOWACJI



1976 roku ówczesny prezes Kosówki Aleksander Siemiradzki i kilku działacze Łódzkiego Oddziału PTTK nawiązali współpracę z czeskimi turystami, a szczególnie z T. J. Sokol w Studnicach koło Nahodu i jej działaczem i organizatorem Vaclavem Rinnem.

Współpraca ta dała członkom naszego Klubu możliwości wyjazdów do zaprzyjaźnionego klubu turystycznego i uprawiania turystyki na terenie Czechosłowacji, co w tamtych czasach nie było takie oczywiste i częste. Każdego roku byliśmy - zapraszani i braliśmy udział w imprezie zwanej "Československi Kvadrant", czyli po polsku "Czechosłowacka Ćwiartka".

Nazwa wzięła się stąd, że mapę Czechosłowacji podzielono na cztery części czyli ćwiartki i postanowiono każdego roku, w pierwszym tygodniu lipca zwiedzać najciekawsze miejsca w danej ćwiartce. Na rajdy te jeździło od nas corocznie kilku a czasami nawet kilkudziesięciu uczestników, w zależności od atrakcyjności terenu przewidzianego do zwiedzania w danym roku. Pozwoliło to poznać nam wiele wspaniałych i znanych w całym świecie zabytków architektury jak i zakątki rzadko oglądane przez przeciętnego turystę.

W Kwadrantach uczestniczono chętnie również z tego powodu, że były one tanie. Noclegi zapewniano zwykle w salach gimnastycznych miejscowych szkół lub innych salach publicznych (teatru, domu kultury itd.), ale materace i śpiwory były własne. Czasem było śmiesznie, czasem denerwująco, gdyż zdarzało się, że i czterysta osób spało w dużej, ale jednej sali.

Nie każdy z nas był przygotowany do przechodzenia dziennie czasem nawet do 50 km i jak bywało na pierwszych Kwadrantach, asfaltowymi drogami. Dlatego czasami podjeżdżaliśmy autobusami, zachowując dobrą kondycję na polski sposób, przeszliśmy wszystkie główne pasma gór na terenie Czechosłowacji.

Impreza tak spodobała się uczestnikom, że postanowiono ją kontynuować, wytyczając trasy wzdłuż i wszerz Czechosłowacji. Co cztery lata w Pradze odbywały się tzw. Spartakiady i wówczas uczestnicy Kwadrantu brali w niej udział. Umożliwiło to nam doskonale poznać Pragę, gdyż jako uczestnicy Spartakiady mieliśmy darmowe przejazdy wszystkimi środkami komunikacji miejskiej i wolne wstępy do prawie wszystkich praskich muzeów. Niestety nie było w karcie uczestnika Spartakiady darmowych degustacji w praskich piwiarniach, ale na kufelek zimnego piwa zawsze znalazło się parę korun.

Z czasem w Kwadrantach zaczęli brać udział członkowie Klubu Górskiego z Wrocławia, turyści z NRD, Bułgarii, a nawet Związku Radzieckiego i Węgier. Pozwoliło to przekształcić imprezę w "Interkwadrant" i rozszerzyć dostępność turystyczną o NRD, Węgry, Austrię i oczywiście Polskę. Trasy przebywało się pieszo, na rowerach, na nartach biegowych (np. u nas na Suwalszczyźnie) a nawet na łodziach (spływ Dunajem).

Polacy ułatwiali zwiedzanie Bieszczad, Tatr Polskich, Pienin, Gór Świętokrzyskich, a nawet Trójmiasta i Warszawy.

Wielokrotnie organizowaliśmy wyjazdy (ostatnio w 1992 roku) w okolice Nahodu, korzystając z bazy noclegowej w sali gimnastycznej T. J. Sokol w Studnicach (ach! te niezapomniane, wspaniałe śniadanka i obiady ze schabowymi wielkości rakiety tenisowej, przygotowywane przez Vladia i Adelkę Mejerów). Zwiedziliśmy skałki Skalnego Miasta, Adrsach, Bronmowske Steny i Czeski Raj.

Po rozpadzie Czechosłowacji organizowaliśmy jeszcze kilkudniowe wypadki do Słowackiego Raju a w 1997 roku dziewięciodniową imprezę w Małej Fatrze i Niskich Tatrach. Mimo, że u naszych południowych sąsiadów poznaliśmy wiele ciekawych miejsc, na pewno jeszcze wiele zostało i warto się tam wybrać.

Romuald Zieliński

WĘDRÓWKI Z SĄSIADAMI



Od kilkunastu lat klub nasz utrzymuje kontakty turystyczne z grupą niemiecką, której trzon wywodził się z Akademii Nauk w Berlinie.

Słynne były ich międzynarodowe rajdy piesze organizowane od 1976 roku aż do dziś pod hasłem "Śladami Teodora Fontany" (niemiecki pisarz późnego romantyzmu). Wędrowaliśmy wspólnie po okolicach Berlina, Brandenburgii i Meklemburgii na odcinkach: 10, 20, 25, 35 lub 50 kilometrowych. Poznaliśmy także inne okolice byłego NRD - od Rudaw przez Szwajcarię Saksońską aż po Rugię. Zmęczeni także usilną pracą umysłową i gestykulacją (ach ta znajomość języków obcych!), kończyliśmy trasę przy wydawanej

z żołnierskiej kuchni grochówce i obowiązkowym piwie. Zbiegały się w tym punkcie i inne trasy. Przychodziły (poza nami i Niemcami z NRD oraz Czechami i Słowakami) także grupy z Berlina Zachodniego, z Zachodnich Niemiec i z Holandii.

Do nas turyści niemieccy przyjeżdżali początkowo na Rajdy Wujcia organizowane w październiku w Beskidzie Sądeckim. Dla nich i dla turystów z Czechosłowacji zaczęliśmy w kolejnych latach rozszerzać nasze trasy tak, aby mogli poznać także inne nasze góry i najciekawsze zabytki. W ten sposób byli w Pieninach i zachwycali się wpływem Dunajcem, w Tatrach już cztery razy, ostatnio w ubiegłym roku, w Beskidzie Śląskim i Żywieckim - pod wrażeniem nie tylko gór ale i miast - Bielska Białej, Żywca. Przemierzali również Podbeskidzie oraz Bieszczady (zauroczeni ich dzikością i szlakami granicznymi). Zważywszy, że po głównej grani Sudetów wędrowaliśmy wspólnie w ramach imprez organizowanych przez Czechosłowaków - poznali oni całe nasze góry.

Wszyscy Niemcy (w sumie około 100 osób) zdobyli brązową GOT, a kilkanaście osób srebrną GOT. Poznali także nasze zabytkowe miasta. Kraków zwiedzali kilkakrotnie, Wieliczkę też oczywiście, również Bielsko Białą, Żywiec i Katowice, także Sanok i Przemyśl no i oczywiście Zakopane i Krynicy z okolicą. Na ich prośbę zorganizowaliśmy im wycieczkę na Mazury.

Turyści niemieccy przyjeżdżali do nas co roku aż do zjednoczenia Niemiec w 1990. Potem, mimo że otworzyło im się okno na górski świat Alp Bawarskich i innych gór Europy i świata, nie wzgardzili naszymi, dobrze już im przecież znanymi górami i w dalszym ciągu przyjeżdżają. W 1994 roku przeszli kilkunastodniową trasę od Bielska Białej przez Beskid Śląski i Żywiecki, a w 1996 - całe nasze polskie Tatry od Morskiego Oka po Dolinę Chochołowską.

Opiekunami i przewodnikami grup niemieckich byli Leszek Fularski, Elżbieta Korczak, Ewa Hawlicka, Maria Brojer i niżej podpisana. Szczególne uznanie należy się tu inicjatorowi tej wymiany, naszemu wieloletniemu prezesowi - Leszkowi Fularskiemu, niegdyś więźniowi Dachau. To właśnie on wraz ze swą żoną Wandą potrafił zaimponować Niemcom nie tylko swą turystyczną kompetencją i kondycją, choć był najstarszy z nas, lecz również ciepłem i serdecznością najwyższej klasy.

Ewa Hankiewicz

P.S. Niemiecki klub turystyczny, o którym tu była mowa jest obecnie związkiem zarejestrowanym pod nazwą "Wanderverein Fontane'91", a prezesem honorowym jest Gerhard Heiter, zaś prezesem funkcyjnym przez wiele kadencji pozostaje Dr Christian Neumann.

POD NIEBEM KONDORÓW

Wyprawa w Andy i do krajów Ameryki Południowej



lub Turystów Górskich "Kosówka przy Łódzkim Oddziale PTTK zaznaczył swoją obecność nie tylko w górach Europy.

Zafascynowani lekturą "Wyżej niż kondory", książki wielkiego polskiego podróżnika i badacza Wiktora Ostrowskiego uznaliśmy, że należałoby zorganizować wyprawę w najbardziej dzikie i niedostępne góry świata – Andy.

Wiktor Ostrowski jako motto do swojej książki napisał: "...ktoś nazwał kiedyś doliny andyjskie zaczarowanym królestwem skalnym. Nie znajduję lepszego określenia. Rzeczywiście zaczarowane i rzeczywiście umarłe. Jedziemy już kilka godzin a oko nie zanotowało żadnego żywego stworzenia. Chyba tylko ot, te dwie czarne kropki zawieszone w błękitie niebios. Kondory! Nieraz już z zachwytem obserwowaliśmy kołujący lot tych mocarnych ptaków..."

W czasie naszego pobytu w Andach często stwierdzaliśmy, że Ostrowski nic się nie pomylił, Andy są puste i wymarłe.

Od pierwszej polskiej wyprawy Ostrowskiego w Andy w latach 1933-34 upłynęło 55 lat. W roku 1988 upłynęło 30 lat od założenia naszego klubu. Postanowiliśmy, że w ramach obchodów jubileuszu "Kosówki" zorganizujemy wyprawę.

Przygotowanie jej pod kierunkiem Zbyszka Ścibiorka trwało bez mała rok. A pamiętajmy, że to były jeszcze czasy, kiedy na zorganizowanie wyprawy i możliwość legalnego opuszczenia kraju trzeba było mieć akcept Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki na wniosek Zarządu Głównego PTTK.

Wyprawa trwała od 12 lutego do 17 kwietnia 1988 roku, czyli 65 dni.

Wzięło w niej udział 20 uczestników, sześć pań (Maria Brojer, Ewa Hankiewicz, Elżbieta Korczak, Maria Lisowska, Anna Pawlak i Janina Szymańska) i czternastu panów (Zdzisław Barski, Krzysztof Groński, Jan Kaczmarzyk, Ryszard Kopka, Witold Opasewicz, Marek Pawlak, Józef Sowała, Czesław Szadkowski, Zbigniew Ścibiorek, Marek Trombski, Bolesław Usielski, Andrzej Wielgopolań, Romuald Zieliński, Waldemar Zieliński). Trasa dojazdowa Warszawa – Moskwa – Oran (Algeria) – Sal (jedna z wysp archipelagu Zielonego Przylądka) – Salwador (Brazylia) – Buenos Aires (Argentyna) i powrót – Lima (Peru) – Hawana (Kuba) – Gander (Kanada) – Shanon (Irlandia) – Luksemburg – Moskwa – Warszawa, samolotem IŁ-86 linii Aeroflot. Trasa lotnicza tam i z powrotem wynosiła 33 tys. km. Dodatkowo kilka tysięcy kilometrów przejechaliśmy na terenie Ameryki Południowej koleją, autobusami i samochodami ciężarowymi, a i nie mało przeszliśmy na piechotę. Razem cała trasa była równa obwodowi Ziemi czyli 40 000 km. Część górską wyprawy zbliżona była do tej, którą pokonywał 55 lat wcześniej Wiktor Ostrowski z towarzyszami.

Z powodu braku dobrych map Andów korzystaliśmy ze szkicowych map wykonanych przez wyprawę Ostrowskiego. Turystyka górską w Andach nie jest powszechna. Wśród ludności tamtejszej istnieje pogląd, że wielkie góry takie jak Andy istnieją nie po to aby po nich chodzić. Kluby andyjskie dopiero tam powstają. Byliśmy nawet z wizytą w takim Klubie założonym przez młodych argentyńczyków w miejscowości San Juan (od nich właśnie dostaliśmy zaproszenia do Argentyny, co umożliwiło nam uzyskanie wizy). Kilku z nich było na szczycie Aconcaguy. Byli bardzo zainteresowani naszą działalnością, wszyscy byli bardzo młodzi, na tle naszej grupy zwłaszcza.

Działaliśmy w dwóch rejonach Andów. Pierwszy rejon to dolina Colorado w okolicy

Mercedario, Ramady, Alma Negro. Na tę część wyprawy wynajęliśmy juczne muły do transportu sprzętu i bagaży, gdyż w tych właściwie bezludnych górach można liczyć tylko na siebie i to co się ma z sobą.

Obóz bazowy założyliśmy dokładnie w tym samym miejscu co Ostrowski, na wysokości 3 800 m n. p. m.

Na podbój Ramady wyruszyło w sumie 11 osób w kilkuosobowych grupkach, na szczyt (6 410) dotarły dwie: Bolek Usielski i Waldek Zieliński. Moja trzyosobowa grupa próbowała wejść na Alma Negro (Czarna Dusza), ale bez powodzenia z powodu wielkich nawisów śnieżnych i lodowych. Weszliśmy natomiast na przełęcz Ramada na wysokość 5 200 m, skąd roztaczał się wspaniały widok na wiele pasm Andów i rysujący się na horyzoncie masyw Aconcaguy, cel drugiej części naszej wyprawy. Po drodze spotykaliśmy pola penitentów, śnieżno-lodowych igieł o różnych wysokościach i kształtach uformowanych przez wiatry, bardzo trudnych do przebycia. Penitenty czyli "śniegi pokutujące" występują jedynie w ośmiu miejscach na świecie między innymi jeszcze w Karakorum na Alasce i pod Kilimandżaro.

Miejscem wypadowym dla obu wypraw była Mendoza (1700 km na zachód od Buenos Aires), gdzie u nieodżałowanej pamięci Zbyszka Gębarskiego byliśmy goszczeni, podobnie jak prawie wszystkie polskie wyprawy działające w tamtym rejonie (w prowadzonym przez gospodarza pamiętniku były zdjęcia i wpisy takich wspinaczy jak W. Rutkiewicz, L. Cichy, L. Wielicki). W tym samym roku mieliśmy okazję zrewanżować się przemilnym gospodarzom i gościć ich przez tydzień u nas w Łodzi. Niestety parę lat później Zbyszek zmarł na atak serca, lecz z jego żoną kartki bożonarodzeniowe wymieniane są do dziś przez Elżbietę.

Pod Aconcagų wędrowaliśmy pieszo doliną Horcones, tym razem bez mułów (w tym rejonie były dla nas po prostu za drogie), niosąc samodzielnie nasze ogromne bagaże, których waga dochodziła do 35 kg.

Obóz bazowy założyliśmy, jak prawie wszyscy wchodzący najłatwiejszą drogą, na Placu Mulników, na wysokości 4230 m n. p. m. Aconcagua licząca 6960 m n. p. m. nie została zdobyta przez naszą wyprawę. Najwyższa

osiągnięta wysokość to 6800 m, czyli do szczytu brakowało jeszcze niecałe 200 m. Szalejące wiatry, duże mrozy, śnieżyce i napięty plan wyprawy nie pozwoliły czekać na bardziej sprzyjające warunki. Najlepszy okres na zdobywanie Aconcaguy to podobno przełom roku, a my byliśmy tam w marcu.

Po zakończeniu górskiego etapu naszej wyprawy, powrocie psychicznym i fizycznym do cywilizacji, ruszyliśmy zwiedzać Amerykę Południową turystycznie. Przejechaliśmy przez prawie połowę długości terytorium Chile (2 100 km), choć w tym okresie Polska nie utrzymywała stosunków dyplomatycznych z tym krajem. Zatrzymaliśmy się na trzy dni w Santiago de Chile, a potem przez pustynię Atacama wzdłuż wybrzeża Pacyfiku dojechaliśmy do miejscowości Arica – najdalej na północ wysuniętego portu chilijskiego, zdobytego w wojnie z Boliwią w końcu XIX w. Stamtąd autobusem w ciągu jednej nocy wjechaliśmy na wysokość ponad 4 000 m n. p. m., na Altiplano, płaskowyż na którym leży większość obszaru Boliwii, przekroczyliśmy granicę chilijsko - boliwijską i po wielu przygodach, już na trzeci dzień od wyjazdu z Arici, dotarliśmy do La Paz, najwyżej położonej stolicy – 3 600 m n. p. m.

Właściwą stolicą Boliwii jest małe miasto Sucre, La Paz jest siedzibą prezydenta i rządu. Tu też jest najwyżej, bo na 3 800 m, położone na świecie lotnisko. Najciekawsze dla mnie w La Paz było muzeum archeologiczne z mumiami Inków. Wszystkie zmumifikowane suchym powietrzem zwłoki mają pozycję kuczną, w jakiej zostały pochowane. Niektóre z eksponowanych czaszek noszą ślady trepanacji i według załączonych opisów osobnicy, u których je wykonano żyli jeszcze długo po zabiegu, co dowodzi wysokiego kunsztu medycznego tamtejszych Indian.

Mieliśmy też ciekawe spotkania z Polakami mieszkającymi w La Paz. Ksiądz Eugeniusz prowadzący pracę misyjną wśród Indian Aimara i ma parafię liczącą 160 000 ludzi przyjął nas piwem! Bardzo ciekawie opowiadał o swej pracy, np. jak wytłumaczyć Indianom, których mentalność jest tak bardzo odległa od naszej pojęcie zmartwychwstania Pana Jezusa, skoro według pierwotnych wierzeń Indian, które mieszają się z nową wiarą, Ziemia (Pacia Mama) jest najwyższym dobrem. Uważają, że jeżeli

kogoś zakopano w Ziemi to jest to wielkie szczęście. Natomiast jeżeli Ziemia nie chciała Pana Jezusa to widocznie nie był to dobry człowiek. Często też, ponieważ śmiertelność noworodków jest tam bardzo duża, Indianie przynoszą księdzu do ochrzczenia dzieci martwe a nawet czasami wykopane z ziemi i dużą trudność sprawia wytłumaczenie, że zwłok nie można chrzcić.

Poznaliśmy także Marka Zdanowskiego, przedsiębiorcę przerabiającego miesięcznie w swym tartaku 50 tys. stóp sześciennych szlachetnego drewna, będącego właścicielem 90 tys. ha lasu tropikalnego i wypłukującego złoto. Proponował nam wycieczkę do tartaku i kopalni złota, ale wymagało to 10 godzin jazdy terenowym samochodem i jeszcze kilku godzin łodzią, a tyle czasu nie mieliśmy i musieliśmy zrezygnować z tej propozycji.

W La Paz jest na wolnym powietrzu stała ekspozycja rzeźb kamiennych przywiezionych z położonego niedaleko Tiahuanaco. Wg. amerykańskiego inżyniera Artura Poznansky'ego, Tiahuanaco założone przed 14 tys. lat leżało nad brzegiem jeziora Titicaca, bowiem w ruinach znaleziono pozostałości urządzeń portowych oraz resztki flory i fauny z tego jeziora. Obecnie Tiahuanaco oddalone jest od brzegów jeziora o około 25 km. Znajdująca się tam słynna Brama Słońca należy do największych wyciosanych z kamienia monolitów skalnych świata – 2 x 3 m.

W Tiahuanaco znajdują się też dziwne rzeźby i rysunki istot z czterema palcami. Ich wieku nie da się określić, gdyż żaden człowiek ze znanych nam epok historycznych nie widział miasta inaczej niż w ruinach.

Do ciekawostek należy zaliczyć wypatrzony przez Marka Trombskiego rozkład jazdy pociągów – wypisany kredą na tablicy na głównym (i jedynym) dworcu w La Paz.

Dalej trasa nasza wiodła do granicy peruwiańskiej wzdłuż jeziora Titicaca, które jest najwyżej położonym żeglownym jeziorem na świecie (3820 m n. p. m.). Po drodze, niedaleko sanktuarium Maryjnego w Copacabana przeżyliśmy zamieszki ludności.

Na jeziorze Titicaca znajduje się wiele wysp, z których najważniejsze to Wyspa Słońca i Wyspa Księżyca. Od Wyspy Słońca zwanej kiedyś "Skałą Dzikiego Kota" pochodzi nazwa

jeziora. Oddawano tu bowiem cześć bogu – jaguarowi. Co ciekawe, woda w jeziorze jest słona.

W końcu udało nam się po przesiadce w Puno dotrzeć do Cuzco – to już w Peru.

Cuzco, położone na wysokości 3 600 m, piękne stare miasto Inków, na którego gruzach hiszpańscy konkwistadorzy zbudowali nowe, wykorzystując wygładzone bloki skalne zburzonych budowli. Była to przez kilka dni nasza baza, z której robiliśmy wycieczki po okolicy. Jedną z nich była trasa starych twierdz inkaskich. Oglądając jedną z nich o niemożliwej prawie do wymówienia nazwie Sascayhuaman zbudowaną z ogromnych bloków kamiennych dopasowanych w taki sposób, że nie daje się między nie wcisnąć nawet ostrza scyzoryka (sprawdzaliśmy to osobiście). Inkowie nie używali zaprawy, a ich budowle stały na terenach czynnych sejsmicznie i mimo to stoją po dziś dzień jeżeli nie zostały zburzone przez ludzi. Skłaniam się do teorii Denikëna, że nie mogli tego zbudować ówcześni ludzie ale być może przybysze z Kosmosu.

Odbyliśmy też inną wycieczkę i to miejscową koleją, która zaraz za stacją wspina się ostro w górę wykonując kilka razy jazdy w przód i w tył. Jadąc wzdłuż rzeki Urubamby dotarliśmy do Machu Picchu. Ten zagubiony wysoko (2 300 m) w niedostępnych górach zespół budowli inkaskich (Inkowie swoje miasta wznosili wysoko pod szczytami w odróżnieniu od Hiszpanów, którzy swoje budowli na dnie dolin) został odkryty dopiero w 1911 roku z powietrza. Ponieważ nie pozostały po Inkach żadne zapiski, a konkwistadorzy niszczyli zastanę kulturę, nie jesteśmy w stanie wiedzieć z całą pewnością komu i czemu służyły budowle Machu Picchu. Wszystkie nazwy budynków i przypisane im przeznaczenie to jedynie domysły współczesnych badaczy. Co do charakteru miasta toczą się spory czy była to twierdza czy stacja pocztowa. "Odkryto" tu Świątynię Księżyca, Świątynię Słońca, zegar astronomiczny, miejsce kaźni lub urządzenie do separacji wymłóconego ziarna a także tarasowato ułożone polećka uprawowe, doświadczalne? Tuż obok wznosi się następny nieco wyższy szczyt i na nim też pozostało nieco zabudowań. Ten nosi nazwę Huayna Picchu (niższy szczyt Machu Picchu nazywany jest starym szczytem).

Wracając z wycieczki staliśmy się nieświadomie przemytnikami narkotyków a właściwie surowca do ich produkcji – liści koki. Ponieważ nie

wsiadaliśmy na stacji wyjściowej, więc wszystkie miejsca w pociągu były już pozajmowane. Po pewnym czasie siedzący Indianie zaproponowali za niewysoką opłatą odstąpienie siedzącego miejsca. Korzystaliśmy z tego skwapliwie, gdyż podróż trwała około 5 godzin. Pod siedzeniami pozostały ich bagaże wcale niemałych rozmiarów. Na którejs z stacji już niezbyt daleko od Cuzco weszli do pociągu żołnierze i zaczęli sprawdzać Indian i ich bagaże. Nie bardzo wiedzieliśmy co się dzieje, gdyż zmęczeni podsypialiśmy, a nasze osoby nie wzbudzały zainteresowania żołnierzy. Zanim pociąg dojechał do stacji końcowej, podczas zygzakowatego zjazdu do miasta, tobołki spod siedzeń zaczęły nagle wylatywać przez okno a ich właściciele wyskakiwali przy zatrzymaniu się pociągu, gdy zmieniał on kierunek ruchu. Po dojeździe do stacji, gdzie przy wyjściu z peronu trzeba było przejść obok szpaleru żołnierzy, po tobołkach i Indianach nie było już śladu.

Największym "przemytnikiem" był nasz kierownik, który spał nad największą paczką z liśćmi koki. Było to przedmiotem wielu żartów.

Do Limy poleciliśmy samolotem, gdyż czas odlotu zbliżał się coraz szybciej a i ze Świetlistym Szlakiem nie chcieliśmy mieć do czynienia.

Dwie doby w Limie minęły prawie niezauważenie bo trzeba było zobaczyć jak najwięcej.

A więc objazdowe zwiedzanie miasta, Plaza de Armas, czyli główny plac w każdym mieście południowoamerykańskim, Katedra z tablicą poświęconą F. Pizarro i tym 13 śmiałkom, którzy

wraz z nim wyruszyli na podbój kontynentu, Muzeum Inkwizycji udostępnione do zwiedzania dopiero w latach siedemdziesiątych i dla osób powyżej 15 roku życia, kościół Św. Franciszka z katakumbami wypełnionymi szkieletami i oczywiście Muzeum Złota – prywatna placówka z takimi wspaniałościami, że opisać nie sposób.

A potem już lotnisko, 25 godzin i byliśmy w Moskwie, a stamtąd po noclegu i krótkim zwiedzaniu już wśród swojsko brzmiących wyrazów (bo po polsku) do Warszawy. Nie ważne, że bagaże przyleciały kilka dni po nas. My już byliśmy wśród swoich. Ale wyprawa ta przez kilka następnych lat była przedmiotem naszych rozmów i wspomnień. Wystarczyło, że zebrało się więcej niż jedna osoba z tych co byli TAM.

Krzysztof Groński

P.S. W dziesiątą rocznicę wyprawy zostało zorganizowane w dniu 28. 02. 98 bardzo uroczyste spotkanie, na którym odliczyli się wszyscy uczestnicy za wyjątkiem dwóch, Zdzisława Barskiego oraz Asi Szymańskiej, mieszkającej, obecnie w Gdańsku. Spotkanie było doskonale zorganizowane i miało wspaniałą oprawę. Prezentowano najciekawsze slajdy i zdjęcia oraz wspomniano niektóre wesołe i mniej wesołe epizody, a całość przeciągnęła się do 5 rano dnia następnego.

HISZPANIA 1989



Zaprawiony w górsko-krajoznawczych wyjazdach do Rumunii i Bułgarii Klub postanowił wybrać się w 1989 roku do Hiszpanii. Po pokonaniu trudności organizacyjnych tj. otrzymaniu przez uczestników paszportów a następnie wiz do Niemiec Zachodnich, Francji i Hiszpanii (skuteczne działanie A. Chyżewskiego), a przede wszystkim zgromadzenie obcej waluty, co przy braku przydziału dewiz i zakazie obrotu walutami zachodnimi w kraju nie było łatwe, wyruszyliśmy w drogę w pierwszych dniach czerwca.

Do granicy niemiecko-niemieckiej tj. dawnej NRD-RFN dojechaliśmy w zasadzie bez kłopotów. Dopiero tutaj na granicy zobaczyliśmy zasieki i zapory przeciwczołgowe, czyli "żelazną kurtynę" w materialnej postaci. Ale jeszcze lepiej prezentowała się straż graniczna (ta wschodnioniemiecka), której żołnierze wśród sterty namiotów, śpiworów, waliz i różnych innych toreb szukała pasażerów na gapę (czytaj: uciekinierów z NRD). Zmęczeni, ocierający pot z czoła i wewnątrz czapek strażnicy dali w końcu za wygraną – wcale zresztą nie przekonani, czy właściwie wykonali swe zadanie.

Jakże inaczej i przyjemniej wyglądało przekraczanie granic położonych poza "żelazną kurtyną". Tylko w powrotnej drodze na granicy francusko-niemieckiej mieliśmy mały problem – jako, że akurat to przejście, które wybraliśmy było dostępne tylko dla ruchu regionalnego tj. dla Francuzów i Niemców. Z francuskimi strażnikami dogadaliśmy się względnie szybko – gorzej było ze strażnikami niemieckimi, ale tutaj wystartowała Ewa Hankiewicz, która doskonałą niemczyzną nie tylko przekonała szefa strażników, że możemy przejechać granicę ale nie zapłaciliśmy także podatku drogowego, gdyż Ewa przekonała celników, że autokar jest własnością Klubu, a nie firmy przewozowej – istotnie na autokarze był napis "Łódź", a przecież Klub jest z Łodzi.

Przejazd przez Francję to zwiedzanie Reims, Paryża, Chatres i Lourdes. W dwa i pół dnia przerobiliśmy pięciodniowy program zwiedzania Paryża. Pomogły nam w tym długie czerwcowe dni i rozeznanie tras metra przez Ewę Hawlicką. Nocowaliśmy w Lasku Bulońskim, a bezbłędny przejazd na kemping przez Paryż, to zasługa Jurka Hankiewicza – niezrównanego pilota na ponad 8 tys. kilometrów wycieczki. W Paryżu, w różnych grupach zaliczyliśmy między innymi muzea: w Luwrze i Impresjonistów, wzgórze Montmartre z kościołem Sacre-Coeur, Pola Marsowe z wieżą Eifla, katedrę Notre Dame, kaplicę Sainte Chapelle, Kościół Inwalidów z grobem Napoleona, Panteon, Ośrodek Duszpasterstwa Polskiego we Francji itd., itd.

W Lourdes zaznaczyliśmy swoją obecność pięknym śpiewem w wykonaniu naszych koleżanek (przed rytualną kąpielą); szczególnie podobała się "Czarna Madonna" i turyści z różnych stron świata z zachwytem powtarzali: "Polonia, Polonia".

Dalsza trasa wiodła przez Pireneje. Chcąc skrócić drogę, postanowiliśmy jechać najbliższym przejściem granicznym – przez góry; był też inny powód – większość z nas nie posiadała wystarczającej ilości dewiz na 20 dni pobytu w Hiszpanii i liczyliśmy, że tam w górze na przełęczy jakoś uda się nam przejechać i tak też się stało. Najpierw autokar nasz wywołał dużą sensację (droga dojazdowa była bardzo trudna), a potem wielką radość i słowa "Waleza, Waleza". Strażnicy otrzymali w prezencie znaczek "Solidarności" i czapkę z napisem

"Solidarność". Zrobił się ogólny tumult, poklepywanie po ramionach no i w tym zgiełku zapomnieli sprawdzić ilość posiadanej przez nas waluty. Może im w tej sytuacji nie wypadało, a może nie przyszło im do głowy, że możemy nie dysponować odpowiednią kwotą? My co prędzej odjechalismy w dół do Saragossy, tym bardziej, że mieliśmy pewne nadwyżki sprzętu optyczno-fotograficznego by zmniejszyć niedobory w walucie (ale o tym dalej).

W Saragossie powitało nas rozgrzane powietrze ok. 40°C w cieniu, co po górskim klimacie nieco odczuliśmy. Dlatego po zwiedzeniu centralnej części miasta (Katedra La Seo, Bazylika N.S. del Pilar - z freskami Goi, ratusz itd.) natychmiast ruszyliśmy dalej – do Madrytu.

W Madrycie, a właściwie na kempingu pod miastem, zatrzymaliśmy się na kilka dni. Ostrzeżeni przed kradzieżami postanowiliśmy trzymać godzinne warty nocne. Uzbrojeniem miała być saperka. Drugiej nocy trzymający wartę Waldek Zieliński zobaczył skradającego się złodzieja – zdeterminowany podskoczył do niego z saperką, zaskakując przestraszonego – dozorcę kempingu. Po wypaleniu "fajki pokoju" rozstali się w przyjaźni, a my ku radości płci brzydkiej zlikwidowaliśmy warty nocne.

W Madrycie zwiedziliśmy wiele obiektów i ich wnętrz, przede wszystkim Muzeum Prado, a w nim wybrane dzieła malarstwa hiszpańskiego i europejskiego (Velazqueza, El Greco, Goyi, Rubensa, Tycjana, Veronese'a), podziwialiśmy piękno architektury madryckiej tj. gmach cortezów, głównej poczty pałac królewski, obiekty sakralne: katedrę San Izidorio, Kościół S. Francisco el Grande a także piękne fontanny (de La Cibeles, Neptuna). Z Madrytu robiliśmy wypadki. Obejrzelismy Eskorial - dawną rezydencję królewską położoną w górach Sierra de Guadarama na wysokości 1 065 m n. p. m. Wielki obiekt, o szesnastu wewnętrznych dziedzińcach, zrobił na nas duże wrażenie, a przede wszystkim bezcenna kolekcja obrazów w apartamentach królewskich oraz 26 marmurowych sarkofagów w Panteonie Królewskim. W górach tych, w Dolinie Poległych, podziwialiśmy wykutą w skale (w latach 1940-56) bazylikę o długości 262 m, poświęconą pamięci poległych z obu stron w wojnie domowej oraz wznoszący się na wzgórzu krzyż o wysokości 125

m. Odwiedziliśmy Avillę - miasteczko otoczone w całości średniowiecznymi murami (XI w.), zachowanymi do dzisiaj w nienaruszonym stanie. Zwiedziliśmy też kilka obiektów sakralnych i świeckich wznoszonych od XII wieku.

W Segovii podziwialiśmy akwedukt rzymski z II w. Zachowany w doskonałym stanie oraz Alkazar z XIV w. Niestety nie odwiedziliśmy zabytkowej restauracji "Meson Condido" z XVII w. – sakiewki były zbyt chude, a chude były z tego powodu, że nie udało się "upłynnić" na bazarze w Madrycie nadwyżki aparatów fotograficznych i lornetek. Okazało się bowiem, że na handel, nawet ten drobny, trzeba mieć licencję. Szybko zwinęliśmy dwa stoliki turystyczne z wyłożonym sprzętem – policja była stanowcza, a nawet więcej niż stanowcza, bowiem bez pardonu zabrali namiot Myńkom, choć ci wcale nie handlowali, tyle, że siedzieli w pobliżu na ławce z namiotem. Co się nie udało w Madrycie, udało się później w Seville; najlepiej "szły" snajpery tj. reporterskie aparaty fotograficzne, a do piszącego te słowa ustawiła się kolejka po lornetki teatralne, niestety nie starczyło dla wszystkich i zawiedzeni krajowcy odchodzili z żalem, że ominęła ich taka okazja zakupu. Utarg został sprawiedliwie podzielony na członków "spółdzielni handlowej" i już mogliśmy względnie swobodnie kupować owoce i wino, a nawet odwiedzać kafejki.

A tak na marginesie, jakże dzisiaj proste i banalne są wyjazdy zagraniczne i bez emocji handlowo-przemysłowych.

Z Madrytu pojechaliśmy do Toledo, gdzie wśród wielu zabytków obejrzelśmy najważniejszy obraz El Greco "Pogrzeb hrabiego Orgaza" (1586 r.). z Toledo do Kordoby trasa wiodła przez malownicze góry Sierra Morena, tylko droga była trzeciej klasy, ale dojechaliśmy.

Kordoba - Sevilla - Granada - to najpiękniejszy odcinek naszej hiszpańskiej trasy. Poruszaliśmy się śladami trzech kultur i trzech religii. Podziwialiśmy wiele wspaniałych zabytków arabskiej i europejskiej sztuki budowlanej; meczet Omajjadów w Kordobie, Alkazar w Seville, Alhambrę w Granadzie, wiele katedr, kościołów, klasztorów i obiektów świeckich oraz przepiękne stare dzielnice żydowskie tzw. Juderie, a także starą dzielnicę Albacin w Granadzie, z zachowanym charakterem mauretańskiego

miasta. Z pięknych parków i ogrodów największe wrażenie zrobił na nas ogród Generalife przy Alhambrze.

Nie sposób wymienić wszystkiego, co udało nam się zobaczyć, jest tego zbyt dużo, dlatego na kemping wracaliśmy zwykle bardzo zmęczeni, ale i zadowoleni, a potem krótki sen i znowu zwiedzanie. Ale nie zawsze udało nam się skorzystać ze snu. W Kordobie mieliśmy taką noc z 23 na 24 czerwca, że o północy postawieni zostaliśmy na nogi hukiem dział. Z wszystkich namiotów wyskoczyli turyści i zobaczyli feerię sztucznych ogní, a to z uwagi na imieniny króla Juana Carlosa. W Seville też nie spaliśmy, a to znowu za sprawą imienin Joli Grońskiej, Janeczki Zimowskiej i Wandy Kaczmarek. Sztucznych ogní nie było, ale za to schłodzone wino bardzo nam smakowało.

W Seville była też możliwość obejrzenia corridy. Część koleżanek i kolegów wybrała się na walkę byków. Później niektórzy mówili, że przy szóstym "zadżganym" byku mieli już dość tego widowiska, no ale będąc w Hiszpanii musieli to "przedstawienie" zaliczyć. W Granadzie natomiast, w czasie wieczornego spaceru, dotarliśmy do osiedla Cyganów - "osiedle", to wykute w skałach mieszkania, a także lokale rozrywkowe. Mieszkańcy widząc tak dużą grupę turystów

z miejsca zaprosili nas na tańce "Flamenco" w wykonaniu miejscowych artystów. Po targach co do ceny za występy, znaleźliśmy się w lokalu (tzn. w grocie) rozrywkowym - było wesoło i przyjemnie.

Z Granady zrobiliśmy skok w góry Sierra Nevada, zdobywając szczyt Veleta (3398 m n. p. m.). przyjemnie było wędrować po śniegu, chłodząc się po upałach - tam w dole.

Do upałów w Hiszpanii przyzwyczailiśmy się dosyć szybko, tym bardziej, że na wielu kempingach korzystaliśmy z basenów kąpielowych. Z żalem pożegnaliśmy Granadę, ale zgodnie z planem czas był na Barcelonę.

Tu poznaliśmy między innymi dzieła znanego architekta Gaudiego - będący jeszcze w budowie kościół Sagrada Familia, domy mieszkalne (szczególnie jeden zwany kamieniołomem) oraz arcyciekawy park Guella. Podziwialiśmy piękną architekturę budynków przy głównej arterii starej Barcelony - "Ramblę", i na końcu tej ulicy kopię

karaweli "Santa Maria" Krzysztofa Kolumba. O ile zaskoczyły nas małe rozmiary karaweli, to pomnik Kolumba jest imponujący (60 m wysokości). Zwiedziliśmy też wspaniale położony (60 km od Barcelony) w górach Monserat na wysokości 725 m klasztor z czarną Madonną.

Szybko kończy się pobyt w Hiszpanii, ale po drodze do granicy z Francją zwiedzamy jeszcze muzeum Salvadora Dali w Figueros. Zwiedzając muzeum przekonał się, że obok dziwacznych rysunków i różnych dziwacznych kompozycji Salvadore Dali malował i rysował również piękne pejzaże i portrety.

Po dwóch dniach odpoczynku w uroczym miasteczku "Argeles sur Meer" nad Morzem Śródziemnym we Francji, ruszyliśmy w szybkim tempie do domu, zwiedzając po drodze Lion

i Norymbergę. W Polanicy Zdroju był hotel, więc wreszcie nie trzeba rozbijać namiotów. Ale w drodze powrotnej jeszcze jedna przygoda. Pod Zduńską Wolą rozsypała się opona, na szczęście nikomu nic się nie stało i po wymianie koła, już bez przeszkód dotarliśmy do Łodzi.

A tu.... żal, że to już koniec wyprawy. Pocieszały się jednak, że będą następne i rzeczywiście były: Francja i kraje Beneluxu, Norwegia i Szwecja, Anglia, Szkocja i Irlandia, Włochy, Grecja, Sycylia itd. Nowe wrażenia i nowe przygody - bo bakcył turystyki krajoznawczej, obok wypraw górskich, już na dobre zagościł się w naszym Klubie.

Stanisław Nowicki
kierownik wyprawy

„... I NADZIWIĆ SIĘ NIE MOGĄ, JAKI PIĘKNY ŚWIAT”



„Zamek składa się z kamieni i podziwiamy sposób, w jaki architekt je zestawiał. Kamienie, zielony, spatynowany dach, snycerka w kaplicy - oto, z czego składa się zamek. Fakt, że Hamlet tutaj żył nie zmienia żadnego z tych elementów, a jednak zmienia wszystko. Kiedy już o tym wiemy, Kronberg staje się dla nas innym zamkiem”.

Tak opisał swoje doznania z wycieczki Werner Heisenberg, jeden z czołowych fizyków kończącego się stulecia. Trudno byłoby zwięźle wyrazić istotę takiego właśnie widzenia świata, widzenia, które stanowi podstawową treść działania w naszym krajoznawczym Towarzystwie.

W Klubie Turystów Górskich zawsze bardzo żywe było dążenie do odwiedzenia nie tylko gór, ale i innych miejsc, organicznie związanych z tradycją kultury europejskiej. Początkowo penetrowano pogranicze karpackie u naszych bezpośrednich sąsiadów. W 1977 roku wyruszyła pierwsza w dziejach „Kosówki” autokarowa wyprawa w Karpaty Rumuńskie. Zebrane tam doświadczenia, zarówno moje, jako kierownika, jak i wszystkich uczestników, były niezwykle

przydatne w późniejszych ekspedycjach trampingowych. Stało się jasne dla wszystkich, że z piękna wsi bukowińskiej, przepychu malowideł cerkwi w Sucewite, Ilisesti czy Voronetu, ze śladów polskich na tych południowych kresach dawnej Rzeczypospolitej, każdy wyniósł tym więcej, im lepiej przygotował się do wycieczki. Doświadczenie to owocowało w latach następnych. Niemal wszyscy uczestnicy trampingów, które później prowadziłem, byli wspaniale do zwiedzania przygotowani. Wiedzieli, że trzeba wiedzieć, kto żył w Kronbergu - przed zwiedzaniem zamku.

W 1981 roku rozpoczęła się moja przygoda w Zarządzie Głównym PTTK. Tak się złożyło, że przez kilka trudnych lat kierowałem jego Zespołem Zagranicznym i uczestniczyłem aktywnie w tworzeniu zrębów prężnego dzisiaj ruchu trekkingowego. W Zarządzie Wojewódzkim PTTK w Łodzi zorganizowałem pierwsze wyprawy w Himalaje (1984 i 1985) a popularyzowanie ich uroków było zacznym do olbrzymich egzotycznych osiągnięć „Kosówki”, opisanych w innym miejscu.

W 1991 roku zorganizowałem i poprowadziłem pierwszą klubową wyprawę trampingową do Europy Zachodniej. Była ona w pełni wielonarodowa. Nie dość, że obejmowała część

Francji, Luksemburga, Belgii, Holandii i Doliny Renu w Niemczech, to jeszcze autokar z Dolnego Kubina prowadził uroczy Milan. Od 26 lipca do 24 sierpnia 32 osoby, a we Francji dodatkowe dwie polskie autostopowiczki, przemierzyły trasę: Łódź - Eisenach - Mainz - Trewir - Luksemburg - Verdun - Orlean - Dolina Loary z jej zamkami - Mont St. Michel - Chartres - Paryż - Amiens - Westenda - Brugia - Gandawa - Bruksela - Waterloo - Louvain - Antwerpia - Rotterdam - Haga - Haarlem - Amsterdam - Arnhem - Gelserkirchen - Kolonia - Łódź. Hasłem przewodnim wyprawy, a potem jej główną częścią, było zwiedzenie części zamków nad Loarą. Sprzyjała nam pogoda, jakże ważna w namiotowym życiu. Posadowienie kilkudniowej bazy w Blois pozwoliło obejrzeć zamki w Chambord i Chaumont - jak byłyby piękne dzisiaj, gdyby nie barbarzyńskie zniszczenia ich wewnątrz w czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej - pełne uroku architektury, zieleni i wody Villandry, Azay-le-Rideau, Chenonceau, ważne dla historii Francji zamki w samym Blois i Amboise - miejsce ostatnich lat Leonarda da Vinci. Opuszczaliśmy Dolinę Loary wyjeżdżając z Usse, zamku stylizowanego dzisiaj na bajkową, oplecioną różami siedzibę Śpiącej Królowej. Dla mnie jednak prawdziwie bajkową kulminacją francuskiej części wyprawy było Mont St. Michel, półwysep, miasteczko i opactwo, z jego architekturą i niespotykanym kształtem spektaklu „światło i dźwięk”. Katedry w Chartres, później paryska Notre Dame i największa z gotyckich w Amiens, kazały mocno zwątpić w sensowność lansowanego wyobrażenia o mrokach średniowiecza.

Sześć dni w Paryżu pozwoliło każdemu zwiedzić te fragmenty miasta, które upodobał sobie jeszcze w Polsce. Wspólnym był tylko wyjazd do Wersalu i wspólne było uczucie, że zabrakło tam czasu.

Wjazd do Belgii nastąpił w okolicach Dunkierki. Pierwszy raz poznaliśmy tam wygodę zjednoczonej Europy. Jadąc bocznymi drogami zorientowaliśmy się, że jesteśmy w Belgii, gdy zmienił się kolor znaków drogowych. Stan techniczny kempingów w okolicach Westendy był natomiast tak zły, że wiele z nich nie uzyskałoby w Polsce prawa do funkcjonowania nawet jako pola namiotowe. Olśnieniem była

Brugia. To najbogatsze niegdyś miasto Europy zostało zbiegiem okoliczności zachowane w kształcie urbanistycznym i architektonicznym, jaki miało 600 lat temu. Właściwa konserwacja budynków w połączeniu z zielenią, siecią kanałów, bogactwem wewnątrz kościołów i pałaców, czyni z tego miasta jedno z najpiękniejszych, jakie widziałem.

Jak przystało na wyprawę klubu górskiego omijała ona skrzętnie wszelkie góry i jedynym wejściem szczytowym było zdobycie kopca w Waterloo.

Holandia zapisała się w pamięci przede wszystkim jako kraj wspaniałych galerii malarstwa (nadmierzające muzeum Van Gogha w Amsterdamie), polderów i kanałów. O tym współżyciu z wodą wiedzieliśmy dużo wcześniej, ale dopiero przypadkowe zbłądzenie do willowej dzielnicy Rotterdamu uzmysłowiło, jakie wspaniałe możliwości tworzenia piękna ogrodów dają kanały wodne. Żegnaliśmy Holandię w Arnhem, gdzie cmentarz z polskimi kwaterami poległych w bitwie „o jeden most za daleko” pokazał nam Stefek Skotnicki, nasz dawny kolega klubowy, który od lat mieszka w Holandii.

Dwa lata później, 27 sierpnia 1993 roku wyruszyła miesięczna wyprawa do Grecji. Z powodu wojen trwających w krajach dawnej Jugosławii oraz niesympatycznych relacji o napaściach na turystów w Rumunii, pojechalśmy drogą nieco okrężną - przez Włochy. W Polsce wykupiliśmy bilety na przejazd promem dla autokaru i 39 osób z Brindisi do Patras i na powrót z Igoumenitsa. Trasa wiodła przez Mikulów - Graz-Tarvisio - Wenecję - Anconę - Brindisi - Patras - Olimpię - Nauplio - Asine - Argos - Mykeny - Ateny (bazowy kemping w Rafine) - Maraton - Delfy - Parnas - Termopile - Dolinę Tombi - Platamonas - Olimp - Larisę - Meteorę - Joanie - Igoumenitsa - Brindisi - Lanciano - Rimini - Rannę - Klagenfurt - Wiedeń do Łodzi.

Pobyty i zwiedzanie we Włoszech staraliśmy się jak najbardziej ograniczyć. Półtora dnia w Wenecji stanowiło znakomite wprowadzenie do całej wycieczki, dało między innymi przedsmak spotkania ze sztuką bizantyjską. Trudy blisko 18 godzinnego przejazdu promem na Peloponez łągodziła możliwość oglądania z bliska wysp znanych z Odysei. W miejscowościach zwiedzanych na Peloponezie uderzało wspaniałe harmonijne połączenie architektury z walorami górskiego pejzażu. Odczuwaliśmy to głównie w miejscowościach współczesnych, ponieważ ruiny

starożytne budziły chyba uczucie pewnego niedosytu, głównie w Olimpi.

Z kempingu w Rafine część ekipy wypłynęła na dwa dni na Delos i Mykonos, pozostali mieli więcej czasu na zwiedzanie Aten. Wynieśliśmy prawie tyle obrazów miasta, ile różnych zainteresowań mieli zwiedzający, niemożliwych do sensownego pogodzenia w ciągu 5 dni. Dla mnie Ateny pozostały w pamięci poprzez muzea, wzgórze Akropolu i jego okolice oraz urok niezliczonych uliczek i zaułków. Na zrekonstruowanej części Agory odkryciem było idealne przystosowanie podcieni i portyków do ochrony przed upałem południa.

Dalej na północ wjechaliśmy w góry. Nie bardzo rozumiem starożytne muzy, które obrały sobie lokum na Parnasie, górze wyjątkowo pozbawionej wdzięku, mając w dodatku u podnóża przepiękne Delfy. Dobry gust miał natomiast Zeus. Olimp, jakkolwiek od północy dostępny bez żadnych trudności, jest masywem pięknym. Imponujące zerwy południowe głównego wierzchołka w pełni tłumaczą umieszczenie tu siedziby bogów, o to z kolei zainteresowanie Olimpem ludzi gór z całego świata. Wieczór i noc w schronisku pod szczytem stanowiły jeden z piękniejszych momentów całej wyprawy.

Odrębnym przeżyciem było dla wszystkich zetknięcie się z klasztorami Meteorów. Budowle te usytuowane są na wierzchołkach wielkich ostańców skalnych, którymi usiana jest wielka dolina. Było to właściwie jedyne nasze zetknięcie się z pozostałością Grecji ostatnich lat Cesarstwa Bizantyjskiego, pełną piękną architektury, malarstwa i całej poezji prawosławia. Dla ludzi, którzy wcześniej widzieli katedry Francji, Meteory stanowiły jakże odmienne przeżycie piękna i spokoju średniowiecza.

Po nocnym powrocie do Brindisi, w ciągu jednego dnia przejechaliśmy wschodnim wybrzeżem do Rimini, zamierającego już po sezonie. Po drodze wstąpiliśmy jedynie na krótko do Lanciano. Mało kto z nas wiedział wcześniej o przechowywanych w tamtejszym kościele średniowiecznych relikwiach niezwykle cudu eucharystycznego. Ciepła pogoda sprzyjała nam do końca i półtoradniowy postój w Wiedniu był okazją do odkrycia uroków jesiennych barw tego miasta.

Od 18 sierpnia do 16 września 1995 roku trwała wyprawa, której głównym celem było uzupełnienie uprzednich włoskich doznań jej 38 uczestników, o Sycylię. Okazało się, że wiele osób nie było dotychczas w Rzymie, lub było w

nim bardzo krótko. Stąd jedyny dłuższy, ponad czterodniowy postój poza samą Sycylią, był właśnie w tym mieście. Cała trasa wyglądała następująco: Łódź - Frydek Mistek - Klagenfurt - Tarvisio - Siena - Rzym - Paestum - Messyna - Cefalu - Palermo - Monreale - Segesta - Selinunte - Agrigento - Syrakuzy - Katania - Taormina - Messyna - Sorrento - Monte Cassino - Florencja - Malga Ciapela - Czeskie Budziejowice - Łódź.

W czasie wycieczki ograniczyliśmy się do poznania Sycylii nadmorskiej, głównie miejscowości związanych ze starożytnymi koloniami greckimi. Szczególnie Selinunte i Agrigento pozwoliły zobaczyć i uwierzyć, że w swoim czasie były to największe miasta greckie. Do dzisiaj zachowały się w nich ruiny największych świątyń Zeusa czy Hery. Jedyne odstępstwo od brzegów wyspy - Segesta - było okazją do zwiedzenia najlepiej zachowanej świątyni greckiej na wyspie. Jej położenie na niewielkim wzniesieniu pozostaje wspaniałym przykładem greckiego geniuszu w architektonicznym podkreśleniu piękna krajobrazu. Starożytna część Syrakuz, a zaraz potem piękna Taormina - pierwsza kolonia grecka na Sycylii - tylko to wrażenie pogłębiało. Zwiedzanie większych i zachowanych lepiej niż w samej Grecji pozostałości starożytnych było znakomitym uzupełnieniem wrażeń sprzed dwu lat.

Z Taorminy odbyliśmy autokarową wycieczkę na zbocza Etny. Szosa pozwala wyjechać na wysokość około 1900 m. Wyżej można było podejść, łatwo lecz uciążliwie, pod kopułą szczytową wulkanu (około 3100 m), lub też wjechać oryginalnymi autobusami przystosowanymi do jazdy terenowej. Na sam szczyt (ok. 3323 m) nie wybrał się nikt, głównie ze względu na ostrzeżenia o niebezpieczeństwie zatrucia gazami wulkanicznymi.

Sycylia średniowieczna zaprezentowała się nam już w Cefalu. W Palermo do dzisiaj zachowało się całe piękno kościołów i klasztorów, będące syntezą sztuki bizantyjskiej i zachodniej. Całe miasto jest jednak bardzo zniszczone i zaniedbane. W czasie zwiedzania natrętnie nasuwały się skojarzenia z atmosferą zubożnienia i zniechęcenia, tak genialnie oddaną w Lamparcie Giuseppe Lampedusy.

Zwiedzanie Włoch kontynentalnych skupiło się głównie na Rzymie, Zatoce Neapolitańskiej i Florencji. Już jednak pierwszy włoski nocleg w Sienie dał okazję do zachwytów. Planowany epizod górski w Dolomitach całkowicie popsuła fatalna pogoda. Rzym zwiedzaliśmy w małych grupkach, co było łatwe dzięki znakomitej komunikacji

kempingu Tiber z centrum miasta. Wspólna była tylko papieska środowa audyencja w Bazylice św. Piotra oraz krótka wycieczka po trzech pozostałych głównych bazylikach miasta, pod opieką miejscowego przewodnika. Audyencja na Watykanie była zorganizowana wyłącznie dla Polaków. Udział w niej utwierdził mnie w dawnych wątpliwościach co do celowości takiego rozwiązania. Pozbawia ono sposobności zakosztowania atmosfery uniwersalizmu kościoła w czasie wspólnych audyencji generalnych.

Dwudniowy pobyt na kempingu w Sorrento dał okazję do całodniowej wycieczki na Capri i kilkugodzinnej wędrowki po wykopaliskach w Pompejach. Mieliśmy więc możliwość zobaczenia zarówno jednego z najpiękniejszych jak i najciekawszych miejsc w całych Włoszech. Niestety, spowicie w chmurach wierzchołka Wezuwiusza było przyczyną rezygnacji z próby obejrzenia Zatoki Neapolitańskiej z góry.

W drodze na północ krótko zatrzymaliśmy się na Monte Cassino i wczesnym popołudniem

rozbiliśmy namioty we Florencji, na kempingu przy Viale Michelangelo. Jego piękne i wygodne dla zwiedzających położenie sprawiło, że zarówno pierwszy wieczór jak i następne dwa dni pozwoliły na zachwycenie się urokami miasta. Wiele osób mogło uzupełnić poznanie Florencji o takie obiekty i dzielnice, których nie miało czasu poznać wcześniej. Oczarowanie kulturalną stolicą Włoch - być może nie tylko - było wielkie. Zaowocowało to wieczorną rozmową licznej naszej grupy na jednym z mostów nad Arno, w której postanowiono zorganizować w następnym roku kilkudniową wycieczkę do Krakowa. Chęć porównania tych dwu miast nasunęła się w sposób tak naturalny, jakiego można było oczekiwać w znakomitym towarzystwie.

Wycieczka taka odbyła się w czerwcu, ale to już nieco inna historia.

Adam Chyżewski

MONT BLANC – NIESPEŁNIONE MARZENIE



a przełomie czerwca i lipca 1993 roku Zbyszek Ścibiorek zorganizował kolejną wyprawę Klubu Turystów Górskich „Kosówka”, a celem były tym razem Alpy francuskie. W programie podstawowym punktem było wejście na Mont Blanc (4807 m n. p. m.).

Namioty rozbiliśmy na campingu o wdzięcznej nazwie „Mer de Place”, w Chamonix, skąd mieliśmy precudowny widok na między innymi pokryte śniegiem Aiguille Verte (4121 m n. p. m.), Aiguille du Midi (3842 m n. p. m.) i górujący nad nimi szczyt marzeń naszej trzydziestoosobowej grupy – Mount Blanc.

Nie mieliśmy zbyt wiele czasu, żeby przeprowadzić pełną aklimatyzację i już drugiego dnia, przy pięknej, słonecznej pogodzie, uspokojeni optymistycznymi prognozami meteorologicznymi na kilka następnych dni, które otrzymaliśmy w ośrodku informacji, podjechaliśmy autobusem do dolnej stacji kolejki linowej w „Les Houches” (1007 m n. p. m.). Kilkadziesiąt minut później dojechaliśmy do

górną stacją w Bellevue (1800 m n. p. m.), skąd po niespodziewanym oczekiwaniu w bardzo licznej, międzynarodowej grupie turystów udało nam się wcisnąć do kolejki zębatej, która, częściowo tunelem, wyprowadziła nas w okolice schroniska Tete Rousse (3167), do którego musieliśmy, już w pełnym słońcu, iść jeszcze około godziny, obserwując towarzyszące nam kozice.

Odpoczynek, przygotowanie sprzętu – może dalej potrzebne będą raki? – i następnie 700 m w górę filarem o bardzo dużym nachyleniu (tak, raki się przydały) w kierunku schroniska na Aiguille du Gouter (3817), które jest miejscem wypadowym do zdobycia szczytu Mont Blanc. Niestety, tego schroniska nie osiągnęli wszyscy, po drodze wiele osób zrezygnowało z dalszej wspinaczki nie czując się na siłach. Ostatecznie na zasłużony odpoczynek przed następnym, decydującym dniem, późnym wieczorem (gdyż wiele czasu zajęło nam między innymi wchodzenie filarem) w prymitywnym schronisku z roztopianym śniegiem na wodę na herbatę, na prostych pryczach leżało czternaście osób. Trud wejścia został jednak nagrodzony możliwością

obserwacji ćwiczeń wojskowych na kolorowych paralotniach, szybujących majestatycznie wśród imponujących lodowców oraz wspaniałym widokiem zachodzącego za alpejskimi szczytami słońca.

Druga w nocy. Ruch w schronisku, przygotowania do wyjścia. Zapowiada się, według komunikatów, dalej doskonała pogoda, nastroje więc pełne optymizmu. Niestety, trudów poprzedniego dnia nie wytrzymały kolejne osoby i ostatecznie w dziesięcioosobowej grupie, w rakach, z kijkami narciarskimi lub czekanami w dłoniach i „czołówkami” na głowach, wyruszyliśmy w towarzystwie kilkudziesięciu innych turystów. Cóż za wspaniały widok! W ciemności posuwa się wolno wąż ludzi, oświetlając drogę latarkami! Wrażenia niezapomniane!

Marsz w górę po wydeptanej w śniegu ścieżce. Grupa nasza rozciąga się, każdy ma swoje tempo chodzenia, jedni idą szybciej, inni wolniej. Ja należę wraz z Romkiem Zielińskim i Jurkiem Michalikiem do grupy wolniejszej. Świta. Oddycham coraz trudniej. Daje znać brak aklimatyzacji i rzadsze powietrze. Do tego zaczyna niespodziewanie wiać bardzo ciepły, ale i bardzo silny wiatr podobny do naszego halnego. Co chwila stoję, z trudem łapię oddech i zaczynam rozumieć, że ambicję trzeba odłożyć na bok. Prawie ze łzami w oczach pojmuję, że wyżej już nie dam rady wejść. Moi współtowarzysze idą dalej, ja wracam i po godzinie jestem w punkcie wyjściowym, w Aiguille du Gouter.

I wtedy zaczyna się! Niespodziewanie, jak to bywa w górach, na przekór doskonałym prognozom meteorologicznym, rozpętuje się burza śnieżna z silnymi wyładowaniami elektrycznymi! Przez okienka schroniska nie widać niczego, prócz pędzących z wielką szybkością gęstych tumanów śniegu i rozdzierających biel błyskawic. Myślami jestem z tamtymi dziewięcioma osobami, które zostały w śnieżnym piekle. Jestem tak zmęczona, że kładę się na pryczy i śpię około dwóch godzin.

Po obudzeniu się ulga! W schronisku pojawiają się nasi. Ale nie, to tylko Romek i Jurek, ci wolniejsi, od których się odłączyłam. Zawrócili niedługo po mnie, ale ich już złapała burza śnieżna. Zmęczeni okrutnie. A reszta? Jeszcze siedem osób, ze Zbyszkim Ścibiorkiem, naszym kierownikiem na czele?

W południe koło schroniska robi się trochę ciszej, choć pada dalej śnieg z gradem. Podejmujemy decyzję zejścia do Chomonix. Droga bardzo trudna, stromy filar oblodzony. Bez raków nie byłoby mowy o próbie zejścia. Stacja kolejki zębatej, później w dół linową, autobus i camping. Grad i śnieg dalej pada, nawet tu na dole.

Trzecia w nocy. Wrócili! Skrajnie wyczerpani. Słuchamy postrzępionych, z trudem wypowiedzianych relacji. Burza śnieżna złapała ich tuż przy schronie Vallota (4362), w którym postanowili odpocząć, czekając na poprawę pogody. Wreszcie podjęli decyzję: schodzimy! Zamieć potworna. Gubią drogę. Chcą wracać do schronu, ale ślady zasypane. Dwie godziny krążą w burzy, nie mogąc odnaleźć schronu Vallota. Wreszcie udaje się. Jest szósta wieczorem. Na szczęście przestaje padać, a w schronie jest krótkofalówka, którą łączą się ze schroniskiem Goutera. Dowiadują się, że normalna droga w dół, którą przyszli, jest w tych warunkach nie do przebycia. Co robić? Pomoc przychodzi w postaci helikoptera, który reflektorem wskazuje im inną drogę przez lodowiec. Skrajnie wyczerpani, po wielu godzinach potwornie trudnego przedzierania się przez zaspy śnieżne, padają na posłania w namiotach na camping.

Znowu zwyciężyły góry. Marzenia o zdobyciu Mont Blanc trzeba odłożyć. Na jak długo?

Na pocieszenie wyprawa nasza trwa dalej. Jedziemy do Zermatu, nad którym króluje wspaniała góra, której na imię Maternhorn (4478 m n. p. m.). ścieżką turystyczną dochodzimy do schroniska Belweder (3260 m n. p. m.). dalsza droga jest już tylko dla taterników.

Janina Zimowska

NA DACH EUROPY



„Właściwie każdy może wejść na Mont Blanc” – słyszeliśmy, – oczywiście przy odpowiedniej kondycji. „Jeśli tylko pogoda sprzyja to nic bardzo trudnego” – mówili inni. Oczywiście my, niepokorne dusze chcieliśmy wszystko sprawdzić sami. Wyprawa miała miejsce w czasie alpejskich wojaży po Szwajcarii i Francji z „Kosówką” w roku 1993. Po kilku dniach aklimatyzacji w Chamonix wybraliśmy najpopularniejszą trasę wspinaczki na Mont Blanc – przez Aiguille du Gouter. Nie będę opisywał tu pierwszego dnia, w całości poświęconego dostaniu się do schroniska (3817 m n. p. m.) Aiguille du Gouter. Bo jest to kawał mozolnego „rzemiosła” ludzi poświęcających się wspinaczce wysokogórskiej. Najważniejszy dla nas dzień rozpoczęliśmy na długo przed wschodem słońca. Około godziny trzeciej w nocy budzi się całe uśpione dotąd schronisko. Szybki posiłek i ubieramy się starannie do wyjścia. Najważniejsze są dziś raki. Jesteśmy ponad granicą wiecznego śniegu. Część niepotrzebnego naszym zdaniem sprzętu postanawiamy zostawić w schronisku zabrać w drodze powrotnej. Wychodzimy, kiedy Alpy pogrążone są jeszcze w głębokim mroku. Na szczęście drogę wskazuje świetlisty szlak latarek innych zdobywców, którzy są przed nami. Budzi się świt. W niesamowitej poświacie wyłaniają się pierwsze szczyty...

Nagle coś w przodzie się dzieje. Wszyscy zawracają. „Dach” Europy drzemie w groźnie wyglądających chmurach. Cel wyprawy wydaje się być nieosiągalny postanawiamy podejść jeszcze kawałeczek. I jeszcze... Nieodparta siła ciągnie nas w górę. Nagle zostajemy sami. Przez mgłę widać schron alpejski Vallot. Niespodziewanie rozpętuje się straszliwa burza. Zacina ostry śnieg. Brniemy na oślep do najbliższego schronienia – Vallot. Wreszcie dopadamy do upragnionych drzwi. Schron alpejski (4362) to solidna metalowa buda, mocno przytwierdzona do skały, z drewnianymi pryzkami, stertą koców, małym stolikiem z prowiantem zostawionym przez poprzedników.

Jest to nasz dom i nasze więzienie przez 6 następnych godzin, kiedy to na zewnątrz szaleje burza śnieżna. Pozostaje nam tylko ją przespać. Około południa robi się jaśniej. Ustaje wiatr. Wychodzimy. Wszystko spowija nieprzenikniona mgła. Dalszy atak na szczyt nie ma specjalnie sensu. Postanawiamy zawrócić. I tu napotykamy na błahy z pozoru problem. Zasypało nasze ślady, nie wiemy, którądy mamy iść. Błądzimy tak przez dłuższy czas, ufając majaczącym we mgle tyczkom, które ostatecznie nas zawiodą. Postanawiamy wracać po śladach do schronu.

Jedyna nasza szansa to awaryjny radiotelefon. Nie ma jednak jednomyślności w grupie... Po kilkunastu minutach akademickiej dyskusji sam podejmuję decyzję wezwania pomocy. Bez śpiworów i prowiantu nie mamy szans spędzić tu nocy. Udaje mi się nawiązać kontakt dość szybko, ale 10 minut zajęło tym na dole znalezienie kogoś anglojęzycznego. Sytuacja jest niewesoła. Burza ma trwać jeszcze 2-3 dni. Nikt więc nie może do nas przyjść, by wskazać nam drogę. Duży helikopter też w taką pogodę nie lata. Ale po chwili pojawia się mały śmigłowiec, który przywozi pomoc. Ratownik pokazuje nam ręką kierunek – wzdłuż lodowca Bionnanssay, którym mamy zejść i odlatuje. Tylko tu warunki atmosferyczne przez najbliższe 3 godziny mają być znośne. Jest 18³⁰. Zaczyna się szaleńczy wyścig z czasem. Przed zmierzchem musimy zejść z lodowca. Biegniemy w dół. Przeskakujemy szczeliny, niektóre ledwie widoczne pod świeżym śniegiem. Kluczemy w labiryncie ogromnych lodowych, błękitnych bloków. Spragnieni pijemy wodę z bezdennej lodowcowej studni. I znów biegiem w dół. Nie ma czasu na kontemplację surowych krajobrazów. Goni nas już burza. Najpierw sypie śnieg, a potem pada deszcz. Widocznie jesteśmy już niżej. Tracimy poczucie czasu. Robi się coraz ciemniej. Boimy się wpaść po ciemku w szczeliny. Mokry śnieg przylepia się pod butami, niezliczoną ilość razy przewracamy się. Dziesiątki metrów zjeżdżamy na plecach. Byle szybciej na dół. Dawno już przemieliliśmy do suchej nitki. Nikt nie zwraca na to uwagi... Dalej, dalej, nie zatrzymywać się – poganiamy się nawzajem. Ile

jeszcze??? Przy ostatnich blaskach dnia docieramy do upragnionej linii skał. Udało się uratować nasze skóry. Ale to nie koniec. W gęstniejącym mroku schodzimy dalej. Przeprowadzamy się przez powstałe w deszczu potoki. Wymacujemy raczej, niż dostrzegamy pierwsze oznaki życia na skałach – porosty. Niżej pojawiają się inne rośliny. Kiedy docieramy do pierwszych drzew jest już zupełnie ciemno. Przez przypadek natrafiamy na stację kolejki w budowie. Krótka dyskusja i szybka decyzja. Ponieważ i tak jesteśmy już przemoknięci do suchej nitki i nie ma w pobliżu nawet skrawka zadaszenia, postanawiamy iść dalej, na camping.

Niekończące się zakosy prowadzą nas łagodnie do Chamonix. Idziemy po omacku wymacując przeszkody kijkami narciarskimi niczym grupa ślepców. Na dole jesteśmy o 1-szej w nocy. Potem już tylko kilka kilometrów szosą. W obozie jesteśmy koło trzeciej nad ranem. Po 24 godzinach od wyjścia z Gouteru. Mimo tak wczesnej pory zgotowano nam wspaniałe powitanie. Alpy nauczyły mnie respektu dla gór. Myślę, że zawsze będę pamiętał tę wyprawę.

Robert Przygocki

WYPRAWA KLUBU „KOSÓWKA” – „NORDKAPP - 94 „



elem jednej z kolejnych wypraw Klubu „Kosówka” było poznanie gór skandynawskich i osiągnięcie **Nordkappu**, najdalej na północ wysuniętego punktu Europy. W wyprawie trwającej od 2 lipca 1994 r do 30 lipca 1994 r uczestniczyły 34 osoby, które autokarem, z namiotami i z własnym wyżywieniem, przebyły łączną trasę 7 837 km! Organizatorem wyprawy i jej kierownikiem był **Zbyszek Ścibiorek** a jego zastępcą **Witek Opasewicz**.

Pierwsze dni, po wyokrętowaniu się w **Ystad** z promu „Nieborów”, związane były ze zwiedzaniem **Malmo**, **Kopenhagi**, **Helsingoru** (zamek „Hamleta”), **Goteborga**, gdyż będąc tak blisko tych ciekawych turystycznie miejsc, żal było je ominąć.

Po przekroczeniu granicy **Szwecja-Norwegia** na wysokości fiordu **Swunesund**, kolejnym miejscem, godnym zwiedzania było uroczysko, chociaż jeszcze nie „górskie” **Oslo**. Na pięknie położonym campingu górującym nad stolicą Norwegii po raz pierwszy odczuliśmy wpływ tzw. „białych nocy”, gdyż po zachodzie słońca (ok. 22-ej) jeszcze przez kilka godzin można było zupełnie swobodnie czytać.

W **Oslo** największą atrakcją, którą zwiedzaliśmy w upale, przekraczającym 33°C, był rozległy park z ustawionymi setkami rzeźb - postaci ludzi w naturalnych lub ponadnaturalnych rozmiarach, dłuta artysty - rzeźbiarza **Vigelunda**.

Kolejne obiekty, to skocznia narciarska **Holmenkollen**, muzeum **Kon-Tiki** z łodziami **Wikingów**, tratwami **RA-I** i **RA-II** i statkiem „**Fram**”.

W piątek, 8 lipca, byliśmy już daleko na północ od **Oslo**, zwiedzając leżące po drodze obiekty olimpijskie w **Lillehamer** i **Hammar**, po czym wreszcie wjechaliśmy w krainę gór i fiordów, w krainę skandynawskich „**Trolli**”.

Następnego dnia pięliśmy się w górę przez pasmo **Jotunheim**, z zamiarem zdobycia najwyższego szczytu Norwegii, **Galdhopiggen**, o wysokości 2469 metrów. Trzysta metrów poniżej szczytu przycupnęło schronisko **Juvashytta**, od którego dalsza droga na wierzchołek prowadziła przez lodowiec, niebezpieczny, popękany, głębokimi szczelinami. Jak dowiedzieliśmy się od „miejscowych” zdarzyło się już sporo wypadków śmiertelnych po wpadnięciu w taką szczelinę i utonięciu w lodowatym potoku, płynącym pod lodowcem. Powiązani linami, w straszliwym upale, weszliśmy wreszcie, by ze szczytu najwyższej góry spojrzeć na Norwegię.

Następnego dnia w niespodziewanie mżącym deszczu jechaliśmy dalej przez długie i wysokie

pasmo **Jotunheim**. Na wysokości około 1500 metrów nagle znaleźliśmy się w księżycowo - zimowej scenerii. Przy poważnie obniżonej temperaturze przejeżdżaliśmy przez wykopane śnieżne tunele, nad którymi królowały wypiętrzone skały, pokryte mchami i porostami. Dalsza droga wiła się wzdłuż widocznego z góry fiordu **Lusterfjord** by doprowadzić nas do doliny **Jostedal**, słynnej tym, że do leżącego w niej jeziora doszło swym brudno-niebieskawym jęzorem, popstrzonym odłamkami skał i kamieni czoło lodowca **Nigardsbreen**.

Po obejrzeniu pięknie położonego muzeum „**Lodowca**”, znajdującego się w budynku o kształcie odwróconej do góry dnem łodzi Wikingów, dalsza, karkołomna droga poprowadziła nas przez fiord **Sognefjorden** (przeprawa promem), miejscowość **Hella** i **Dragsvik** i dalej w górę, do **Eldalsosen**, skąd nastąpił zjazd na drugą stronę masywu tzw. „pętelkami i agrałkami”, z sercem, podchodzącym do gardła. Pod wieczór znaleźliśmy się w **Loen**. I tu, na campingu „**Lo-Vik**” nad brzegiem wspaniałego fiordu, okolonego dwutysięcznymi szczytami, przeciętymi wąwozem górskiej rzeki, zapoznaliśmy się z historią dawnych tragedii, która znalazła swój epilog na miejscowym cmentarzu. Na początku obecnego wieku, dwukrotnie ze szczytów **Lodalskapa** (2083 m) spadły w dół, w koryto rzeki tak potężne odłamy skalne, że wywołana nimi fala zmyła położoną na brzegu fiordu wioskę z domami, ludźmi i całym dobytkiem. Pomniki ponad stu trzydziestu ofiar patrzą dzisiaj posępnie na górskie szczyty.

Kolejny etap to położony dalej na północy jeden z najpiękniejszych fiordów Norwegii, **Geiranger**, z niecodziennym wodospadem, dzielącym się na siedem spadających wśród obłoków wodnej piany potoków, zwanym wodospadem „**Siedmiu Sióstr**”. Głębokość wąskiego, wijącego się fiordu dochodzi do siedmiuset metrów a wysokość sterczących po obu stronach zboczy sięga dwóch tysięcy metrów.

A potem znowu wysokie, posępne szczyty, coraz mniej wysokiej roślinności na korzyść karłowatej, strome zjazdy, przeprawa promowa koło **Linge** i dwudniowy pobyt w **Aldalsness**, małym miasteczku przepołowionym rzeką, położonym u stóp prawie pionowej ściany skalnej. Mamy okazję podziwiać popisy lotniarzy, startujących na kolorowych skrzydłach hen, tam, z góry. Wieczorem, na campingu, oglądaliśmy film o Norwegii. Rzeczywistość jest jednak ładniejsza.

Połowa lipca, okolica **Dombas**. Góry skończyły się, wokół nas widoki ni to tajgi ni to tundry. Przeważa niska, karłowata brzoza. Pierwsze, żyjące na swobodzie, pasące się renifery. Przez **Storen** dojeżdżamy do **Trondheim**. Małe, piękne miasteczko nad wodą. W centrum najstarszy drewniany dom w Europie. Rzekę spina równie stary, drewniany most, nad wodą domy na drewnianych palach. Ładnie.

W piątek, 15 lipca, w leżącej na naszym szlaku miejscowości **Budabua** oglądaliśmy skansen a w nim naskalny rysunek łosia, liczący sobie około pięciu tysięcy lat. Przejeżdżamy przez **Mo-I-Ranę** i czujemy, jak wzrasta stopniowo podniecenie. I wreszcie właśnie to! **O 18⁰⁶ przekraczamy Krag Polarny!** Szerokość północna 66 stopni i 33 minuty a temperatura 19°C.

Przeprawiamy się znowu promem przez fiordy i zatrzymujemy na campingu w **Lonsdal**. I tu pierwsza, nieprzyjemna niespodzianka. Po całonocnej burzy, rano, ciągle w deszczu, zwijanie mokrych namiotów. Mgła, niski pułap chmur, zimno. Kolejna przeprawa promowa **Bognes - Skarberget**. I wreszcie wita nas pochmurny **Narvik** z dwoma cmentarzami polskich żołnierzy z II Wojny Światowej. Składamy skromne wiązanki i zapalamy znicze, oddając w milczeniu hołd polskiemu bohaterom.

Potem **Moen, Tromso** - najdalej na północy na świecie położone miasto uniwersyteckie - i **Alta**. Krajobraz zmienia się. Drzewa niziutkie, przeważa karłowata brzoza o małych listkach, czasami biała, kwitnąca jarzębina i na koniec niska trawa, mech, kamienie. I ten widok towarzyszy nam już do celu naszej podróży, do samego **Nordkappu**.

Poniedziałek, 18 lipca, godzina 18³⁰. **Nordkapp** to wysunięty w morze kawał ostrego przylądka, opadający ku powierzchni wody prawie prostopadłymi, poszarpanymi zboczami o wysokości ponad 300 metrów. Jest chłodno, zaledwie 9°C, chmury, zimny, silny wiatr od bieguna, mgła. Ale czasami niespodziewanie wygląda słońce i wtedy na niebie rozpala się tęcza. A wokół nas i między licznymi budynkami, smutna skalno - trawiasta płaszczyna. Duży monument, przedstawiający kulę ziemską, pod którym każdy chce mieć pamiątkowe zdjęcie.

Po dwóch godzinach, wśród silnej mgły, wracamy. Nocna przeprawa promowa przez fiordy a po krótkim noclegu dalsza jazda, przez **Karasjok**, stolicę Laponii, na camping w **Kautekeino**, opanowany przez niespotykane do tej pory roje komarów. W tym miasteczku kolejna niespodzianka: „**Galeria Srebra**”

prowadzona przez małżeństwo, Duńczyka i Niemkę, pochodzącą z okolic Giżycka. Oboje studiowali architekturę a po skończeniu studiów dalszy swój los związali z daleką, dziką północą, budując własnymi rękami od podstaw dom i galerię. A od lat większość dochodów z eksportu precudownej, srebrnej biżuterii, której motywy bazują na odwzorowaniu tutejszej roślinności, przekazują w postaci żywności i odzieży biednym dzieciom całego świata, aktualnie podczas naszego pobytu do Afganistanu. Właściciele galerii zaskoczeni byli naszymi odwiedzinami, gdyż byliśmy pierwszymi Polakami, którzy przekroczyli te progi.

Mijamy granicę z **Finlandią** w **Kivilompolo**, nie widząc żywego ducha. Jako ciekawostkę zauważamy ciągnące się w nieskończoność ogrodzenie z siatki, nie pozwalające na przemieszczanie się stad reniferów z jednego kraju do drugiego. Po przejechaniu na ukos wąskiej w tym miejscu **Finlandii** wjeżdżamy do **Szwecji**, kierując się do **Kiruny**. Tam spora atrakcja: zwiedzanie słynnych kopalni rudy żelaza oraz wejście na najwyższy szczyt Szwecji, **Kebnekeise**. (2117 m).

Było to spore przeżycie, gdyż od campingu **Nikkaluokta** najpierw trzeba było przejść 18 km po płaskim terenie, żeby dotrzeć do schroniska, punktu wyjściowego na szczyt. Dopiero z tego miejsca, pokonując lodowce, śnieg, piargi, strumienie, należało podejść ponad 1400 metrów. Podzieleni na kilka grup, niestety, nie wszyscy osiągnęli cel, głównie na skutek nie najlepiej oznaczonego szlaku i pobłądzenia. Jedynie

Tomek Dzieniakowski, dołączywszy do szwedzkiej grupy, prowadzonej przez przewodnika, dotarł na wierzchołek. Inne grupy, bądź weszły na niższe szczyty masywu **Kebnekeise** (**Arek Detyniecki i Tadek Zabierowski**) bądź po zabłądzeniu i przejściu kilkudziesięciu kilometrów (!) zawróciły, nie osiągnąwszy celu.

Jednak na szczycie **Kebnekeise** pozostał ślad „Kosówki”. Czwórka członków wyprawy, **Renia Przygocka, Ela i Andrzej Wielgopolanowie i Zbyszek Bestecki**, wynajawszy w schronisku helikopter, polecili na szczyt i tam wyryli w zmrożonym śniegu duży napis „Kosówka”!

Z **Kiruny** na ukos przez **Szwecję** skierowaliśmy się nad brzeg **Zatoki Botnickiej** i następnie wzdłuż niej na południe, doskonałymi drogami, w upale, przecinając gęste lasy. Zwiedzaliśmy kolejne miasta, położone na szlaku: **Sundsvall, Upsalę i Sigtunę**, pierwszą stolicę Szwecji. Ale myślami wracaliśmy ciągle do groźnych gór, przepięknych fiordów, dzikiej, nie całkowicie jeszcze zniszczonej przez człowieka przyrody.

Wreszcie **Sztokholm**, po którego zwiedzeniu, w piątek, 29 lipca, skierowaliśmy się do przystani promowej w **Oxelasunde**, by następnego dnia w południe przybić do nadbrzeża portu w **Gdańsku**. Zmęczeni ale szczęśliwi, zafascynowani północną Skandynawią.

Andrzej Zimowski

JAK ZDOBYLIŚMY KEBNEKAISE



Wyprawa „Nordkapp 94” przekroczyła półmetek. Przed nami Kiruna i położony kilkadziesiąt kilometrów dalej najwyższy szczyt Szwecji - Kebnekaise. Jak zwykle na wyprawie mamy duże plany przy ograniczonych możliwościach czasowych.

Po zwiedzeniu Kiruny jedziemy na kemping. Jest późne popołudnie. Każdy próbuje znaleźć najlepsze miejsce na rozbicie namiotu, jak najdalej od komarów, ale jest to niemożliwe. Roje komarów kłębią się i próbują dostać się wszędzie: do namiotów, do nosa i ust; bzyczą i kłają aż do

krwi. Wszyscy zamieniają się w Beduinów – mamy na głowach ręczniki, kapelusze, siatki, ale i tak to niewiele daje. Każdy macha rękami, gałązkami, ręcznikami – wykonujemy zbiorowy taniec św. Wita. Niektórzy nie wytrzymują tej walki i wynajmują bungalowy – tam przynajmniej moskitiery w oknach chronią nas przed niepożądanym towarzystwem.

Każdy chce zdobyć Kebnekaise. Obóz dzieli się na grupy. Najbardziej ambitni wyruszają już o godz. 18-tej, zaraz po przybyciu na kemping. Chcą jak najszybciej pokonać osiemnaście kilometrów tundry i dotrzeć do schroniska. Tam odpocząć i przenocować, a rano wyjść w góry i próbować zdobyć upragniony szczyt.

Druga grupa, cokolwiek mniejsza, ale również ambitna, wyrusza o godz. 6 rano. Powoli obóz budzi się ze snu. Po śniadaniu kolejne grupy wyruszają w tundrę, w kierunku gór.

Nam się nie spieszy. Postanawiamy najpierw rozejrzeć się po okolicy. Zwiedzamy niewielki kościółek na wzgórzu nieopodal kempingu. Po wyjściu dostrzegamy lądowisko helikopterów z kilkoma maszynami gotowymi do startu. Szybko podejmujemy decyzję i wynajmujemy czteroosobowy śmigłowiec. Pilot znając trudności wejścia na Kebnekaise i wędrówki po lodowcu wypytuje nas o doświadczenie turystyczne, wnikliwie obserwuje nasz ekwipunek. Pochyleni nad mapą ustalamy przebieg eskapady. Helikopter może nas podrzucić do kamienistego plateau w okolicy szczytu, lecąc wzdłuż trasy, którą później będziemy schodzić.

Nie ma chwili do stracenia. Kamerzysta Zbyszek siada obok pilota; Ela, Andrzej i ja z tyłu. Nigdy nie lecieliśmy helikopterem. Startujemy. Pod nami przesuwały się widoki tundry ze skąpą roślinnością, rzeka, jezioro, potem schronisko. Po kilkunastu minutach lotu zwiększamy pułap. Pod nami lodowiec i ośnieżone szczyty. Lądujemy u podnóża Kebnekaise. Droga na szczyt jest tuż obok. Wszędzie leży śnieg. Szybko przebieramy się w ciepłe rzeczy i zaczynamy wchodzić na szczyt. Trwa to około pół godziny i oto o godzinie 12⁰⁰, 21 lipca 1994 r. zdobywamy Kebnekaise (2117 m n. p. m.). Widoki przepiękne. Otacza nas panorama gór pokrytych śniegiem. Robimy pamiątkowe zdjęcia, pozostawiamy na śniegu napis „Kosówka” i ruszamy w drogę powrotną. Po zejściu ze szczytu z trudem odnajdujemy szlak i po kamieniach, przysypanych co pewien czas śniegiem, zaczynamy schodzić w dół. Mijamy schron – chatę z drewnianych bali. Schodzimy niżej. Nadal delektujemy się widokiem gór. Po pewnym czasie schodzimy w szczelinę aby po chwili znów mozolnie piąć się na następny, nieco niższy szczyt. Po chwili znowu schodzimy. Droga nie jest monotonna: kamienie przysypane śniegiem, a po chwili zapadamy się w śnieg po kolana, czasami nawet do pasa. Postanawiamy odpocząć. Siadamy u podnóża gór. W oddali lśni śnieżnym blaskiem stożek szczytu Kebnekaise. Bliżej widoczne są niższe szczyty, na pierwszym planie schodzi w dół lodowiec, wzdłuż którego prowadzi kolejny szlak na szczyt, dostępny wyłącznie dla turystów–

wspinaczy. Po krótkim odpoczynku ruszamy dalej. Dochodzimy do rwącego potoku wypływającego z lodowca. Trzeba przedostać się na drugi brzeg. Z trudem odnajdujemy miejsce, gdzie przeskakując z kamienia na kamień pokonujemy tę rwącą górską wodę. Powoli żegnamy się z lodowcem, stopniowo wytracamy wysokość. Nagle na łagodnym zejściu spotykamy Romka, idącego pod górę. Po wymianie doświadczeń zmierzamy w stronę schroniska. Jest godzina 19-ta. Zejście ze szczytu zajmuje nam już siedem godzin. W schronisku spotykamy kilka osób z naszej wyprawy. Po wypiciu piwa ruszamy w stronę kempingu. Mamy do przebycia jeszcze osiemnaście kilometrów, ale już po płaskim terenie.

Po ustaleniu kierunku marszu, wzorem niektórych naszych kolegów postanowiliśmy iść „na skróty”. Naszą drogę wyznaczają słupy telefoniczne, łączące się na horyzoncie z drogą wytyczoną na mapie. Początkowo droga wydaje się być łatwa, idziemy szybko podziwiając kępy traw, niskie krzewy, karłowate drzewka. Po pewnym czasie zaczynamy kluczyć, omijając mokradła, aż nagle – pierwsza przeszkoda – rwący potok. Szukamy brodu, gdyż potok jest zbyt szeroki, aby go przeskoczyć. Znajdujemy przerzucone nad wodą drzewo. Przechodzimy po nim, jak po moście, na drugi brzeg. Idziemy dalej. W pewnym momencie na naszej drodze pojawia się nowa niespodzianka. Tym razem jest to szeroka, nie do pokonania, rzeka. Po krótkiej naradzie postanawiamy wrócić do wyznaczonej na mapie trasy i mostu. Tracimy 2 godziny, ale jesteśmy bogatsi w doświadczenia wędrówki przez tundrę. Droga jest wyłożona kamieniami, drewnianymi kładkami przerzuconymi przez trzęsawisko. Widoczność jest dobra, gdyż nadal są białe noce. Niestety komary nie śpią, atakują każdą odsłoniętą część ciała. Jak w transie dochodzimy do obozu. Jest godz. trzecia nad ranem – piętnaście godzin marszu. Po kąpieli spotykamy się jeszcze raz w domku Andrzeja i Eli aby uczcić wyprawę i idziemy spać. Rano zwijamy obóz. W autokarze każdy opowiada o swoich przygodach. Nasza opowieść wzbudza ogólną radość.

Nie mamy wyrzutów sumienia. Było zbyt mało czasu na konwencjonalne zdobycie szczytu. My tylko zeszlismy.

Regina Niczypor – Przygocka

SZKOCJA

Z wycieczki po Wyspach Brytyjskich



W czasie zorganizowanej przez Klub Turystów Górskich "Kosówka" w roku 1995 miesięcznej wycieczki (7200 km) zwiedziliśmy między innymi Szkocję. Po przejechaniu nizinnej Anglii i przekroczeniu "Muru Hadriana" wjechaliśmy do Szkocji. Mur Hadriana został zbudowany za czasów cesarza Hadriana około roku 125 n. e. i stanowił północno-zachodnią granicę Cesarstwa Rzymskiego.

W największym miejscu wyspy zbudowano mur długości 100 km, który miał 2,5 - 2,8 m grubości i 4,5 m wysokości. Znajdowało się w nim 17 fortów i 34 wieżyczki obserwacyjne. Tak Rzymianie odgradzali się od znakomicie uzbrojonych, wojowniczych Piktów, zamieszkujących północne ziemie Brytanii.

Z czasem mur zmniejszał się, gdyż materiał, z którego został zbudowany przez wieki stanowił doskonały budulec na domy, budynki gospodarcze i ogrodzenia. Jak potężny za czasów rzymskich był ten mur, świadczą jego pozostałości jeszcze dziś.

Na północ od tej kamiennej bariery rozciąga się Szkocja. Roztaczający się krajobraz jest miłą odmianą po nizinnej Anglii. Szczególnie latem i wczesną jesienią, kiedy bezkresne pagórki przykrywa zielono-fioletowy dywan dorodnych wrzosów a na polodowcowych jeziorach błyszczą tafle wody. Krajobraz surowy, różnice poziomów znaczne, serpentyny dobrych górskich dróg wiodą

coraz dalej i dalej na północ.

Zwiedzanie Szkocji rozpoczynamy od stolicy. Edynburg jest malowniczym miastem, położonym pośród wulkanicznych pagórków nad brzegiem zatoki Firth of Forth. Głównym obiektem miasta jest Zamek, wybudowany na wzgórzu, obecnie w centrum miasta. W obrębie murów znajduje się min. XI-wieczna kaplica

królowej Małgorzaty, najstarszy budynek w Edynburgu. W zamkowym muzeum podziwiamy klejnoty koronne: koronę, miecz i bogato zdobione berło z figurkami Matki Boskiej, St. Andrew'a i St. James'a. Przed bramą zamku rozpoczyna się jedna z głównych arterii miasta – Królewska Mila. Składa się ona z kilku ulic i łączy Zamek z Pałacem Królewskim (Stuartów) Holyrood (XVI - XVII wiek). Wzdłuż Królewskiej Mili znajduje się wiele ciekawych obiektów. My zwiedzamy gotycką katedrę St. Giles'a z XIV wieku. Posiada ona ażurową iglicę, która kształtem ma podobno przypominać koronę Szkocji. Wewnątrz najciekawiej prezentują się witraże oraz ołtarz główny. Spacer po Edynburgu można zakończyć w zaułkach Nowego Miasta lub na eleganckiej Princes Street. Najwytrwalsi docierają na szczyt wygasłego wulkanu Artur's Seat (250 m n. p. m.), skąd rozciąga się panorama całego miasta.

Opuszczając Edynburg żartujemy, że nie zdążyliśmy obejrzeć wielu interesujących muzeów i galerii.

Długa droga na północ prowadzi nas poprzez typowo szkocki krajobraz do Inverness, najpopularniejszego ośrodka turystycznego północnej Szkocji. W mieście można obejrzeć z zewnątrz sylwetkę zamku, w którym zgodnie z legendą Makbet zamordował króla Duncana. Z Inverness udajemy się na południe wzdłuż jeziora Loch Ness. Przejrzyste powietrze umożliwia obserwację nieruchomej tafli wody. Niestety nie udaje nam się dostrzec niczego podejrzanego, co można by uznać za ślad legendarnego potwora. Szkoci nazywają go pieszczotliwie Nessi i potrafią wykorzystać jako atrakcję turystyczną. Przekonujemy się o tym w Dornadroit, gdzie znajduje się Centrum Loch Ness z wystawą poświęconą potworowi. Biorąc pod uwagę, iż jest to muzeum czegoś co nie istnieje ekspozycja jest logicznie przemyślana i sprawnie zaaranżowana przy wykorzystaniu wielu środków audiowizualnych. Na początek lekcja geologii.

Dowiadujemy się o ruchach górotwórczych, które wypiętrzając pewne fragmenty dna morskiego utworzyły wiele jezior, w których to jeziorach mogły zostać uwięzione zwierzęta morskie. Następnie poznajemy zbadaną florę i faunę jeziora. Analizując łańcuch pokarmowy środowiska Loch Ness okazuje się, iż jest w nim "miejsce" dla dużego mięsożernego drapieżnika. W następnych salach przedstawiona jest historia badań jeziora i poszukiwań Nessi oraz przykładowe relacje osób, które na pewno coś widziały. Pierwsza taka informacja pochodzi z 565 roku naszej ery.

Oczywiście ekspozycja nie potwierdza faktu istnienia potwora w jeziorze Loch Ness, uzmysławia jedynie potęgę ludzkiej wyobraźni i skłonność do wiary w legendy. Opuszczając Dromnadrochit pozostawiamy za sobą pseudonaukowe dywagacje i wybiegamy myślami do faktu sprawdzonego i dokładnie zmierzonego – przed nami najwyższe wzniesienie Wysp Brytyjskich Ben Nevis (1343 m n. p. m.). Jest to jeden z głównych celów naszej wyprawy.

U podnóża gór znajduje się miasteczko Fort William. Zatrzymujemy się na kempingu w dolinie Glen Nevis. Rozpoczyna się tutaj jedna z dróg prowadzących na szczyt. Ponieważ jest bardzo słabo oznakowana kupujemy mapę najbliższej okolicy. Na zdobycie szczytu wyruszamy rankiem następnego dnia w wielu kiluosobowych grupach, tak aby tempo marszu dostosować do możliwości uczestników. Po pokonaniu pierwszego trawersu wychodzimy ponad granicę lasu i rozpoczyna się długi "spacer"

poprzez zbocze porośnięte soczystą trawą. Po dotarciu do rozległego siodła robimy pierwszy postój przy niewielkim jeziorze. Dalsza droga jest utrudniona przez strumień, którego koryto często przecina naszą ścieżkę. Na szczęście z każdą chwilą widoki stają się coraz piękniejsze. Przed samym szczytem musimy pokonać dużą połąć śniegu. Mimo niewielkiej wysokości okolica wierzchołka przypomina raczej krajobraz Tatr niż Beskidów. Trawy nie ma prawie wcale, a nagie skały wyglądają groźnie i majestatycznie. Wierzchołek Ben Nevis jest z kamienia i pozostałości większych zabudowań wojskowego posterunku obserwacyjnego.

Północna ściana szczytu to 200 metrowa skarpa, ulubione miejsce nie tylko brytyjskich alpinistów. Tradycyjna droga na szczyt nie jest długa, ani trudna technicznie. My pokonaliśmy ją w ciągu 4 i pół godziny. Na szczęście w chwili kiedy dochodziliśmy do szczytu była dobra widoczność. Po godzinie, od północy zaczęła nadciągać bardzo gęsta mgła, która zasłoniła niepowtarzalne widoki na najwyższe pasmo Wysp Brytyjskich.

W drodze powrotnej do kempingu, zmęczeniu i zadowoleni wielokrotnie zatrzymywaliśmy się przy orzeźwiających strumieniach.

Wieczorem przy kolacji dzieliliśmy się wrażeniami z osobami, które jednak zdecydowały się pozostać w obozowisku.

Arkadiusz Detyniecki
Jolanta Grońska

SŁOWO O DOLOMITACH



apewne 100lat temu Francuz, Deodat Dolomieu nawet nie marzył, że badając skład skał w północnych Włoszech wejdzie na zawsze do atlasów geograficznych i geologicznych świata. To dzięki jego pracy

minerał zawierający węglan wapnia z domieszką magnezu nazwano dolomit, zaś góry w większości z niego zbudowane – Dolomitami. Jakie formy skalne tworzy dolomit można skromnie przekonać się już w śląskich kamieniołomach lub tatrzańskiej Dolince za Bramką ale najpełniej prezentuje się w samych Dolomitach. Finezyjne falbanki skalne dolin Brenty czy Vajoletu nie mają sobie równych a

piramidy Marmolady, Adamello czy Lavaredo kuszą śmiałków o wspinaczkowych ambicjach. Dolomity serwują nie tylko pionowe ujęcia z rozmachem wypiętrzonych w górę wieżyc i głęboko wciętych dolin, to także szerokokątne panoramy rozłożonych jak na palecie zieleni hal, bieli lodowców, beżu piargów i szafiru stawów. To niepowtarzalny urok schronisk często zawieszonych jak gniazda jaskółcze: Preuss, Tuckett, Contrin.

Wrażenie sielanki mąci jednak przeszłość pełna krwawych zdarzeń jakie miały tu miejsce i wiązały się z roszczeniami do tej skalnej ziemi. Rejon Dolomitów, do I-ej wojny światowej podzielony między Austrię i Włochy na wysokości Marmolady, nazywany był przez jednych Tyrolem Południowym, a drugich – Górną Adygą. Wojna była równie dzika i bezwzględna jak przyroda ziemi o którą ją toczono. W śniegach i lodach pozostały na zawsze tysiące żołnierzy obu stron, prześcigających się w fortelach mających oszukać przeciwnika. Wielu zginęło nie w walce ale od mrozu, lawin i kamieni.

W wyniku tych zmagania Włochy przesunęły swą granicę na północ ale etniczne właśnie co jakiś czas wciąż odżywają na nowo. Choć dziś jest to strefa dwujęzyczna o znacznej autonomii polityczni malkontenci domagają się zerwania więzi z Włochami i stworzenia niezależnego państwa – Transpadanii.

Pozostałością krwawych zmagania jest skansen wojenny na Górze Łez (Monte Piano), gdzie wśród okopów jakby przed chwilą opuszczonych przez żołnierzy unosi się jeszcze duch walki. Innym ciekawym miejscem jest muzeum walk

o Marmoladę na Punta Rocca, pokazujące jak po urwiskach transportowano ciężką broń i zaopatrzenie, jak instalowano stanowiska ogniowe, jak wykuwano w lodzie i skale schrony i szpitale. Jak dokonywano cudów aby mnie znaleźć się w polu ostrzału wroga. Mniejsze umocnienia i kryjówki strzeleckie spotyka się aż za przełęczą Falzarego, wzdłuż dawnych linii frontu.

Osobliwością Dolomitów jest również język jakim posługują się miejscowi. Dialekt ladiński stworzył wiele idiomów nieprzetłumaczalnych ani na włoski ani niemiecki, a jednak trwale wpisanych do nazewnictwa geograficznego regionu.

Wędrując po szlakach Dolomitów wiele niezapomnianych wrażeń dostarczy sposób w jaki je poprowadzono przez percie, ściany i galerie. Jedne uzbrojone w stalowe liny to ferrati - drogi żelazne prowadzące jak po sznurku w poziomie lub pionie, drugie to bocchetti - drabiny stalowe, często przewieszone, ale pozwalające na pionowe pokonywanie urwisk. Dolomity wciąż rzucają wyzwanie odważnym i dają nacieszyć się niczym nie skrzepowaną swobodą bez sztywnych granic parków narodowych (choć one istnieją), ich regulaminów i natarczywych strażników ochrony przyrody. Bo póki co Dolomity same bronią swego naturalnego dziedzictwa i co dziwne -

z powodzeniem, bo ludzie w nie rzuceni pokorniej, jakby porażeni ich urokiem i potęgą.

Warto tam znowu wrócić!

Witold Gawroński

KLUB TURYSTÓW GÓRSKICH "KOSÓWKA" W DOLOMITACH I ALPACH BAWARSKICH



W pierwszej połowie lipca 1996 r. członkowie KTG "Kosówka" oraz kilka zaproszonych osób uczestniczyło w wyprawie w Dolomity i Alpy Bawarskie. W skład grupy

wyjeżdżającej weszło 26 uczestników zorganizowanych w 2-, 3-, i 4-osobowe zespoły "namiotowo-żywieniowe". Środkiem transportu był autokar wynajęty z PKS. Omawiana wyprawa została zaplanowana w końcu 1995 roku po bardzo zachęcających informacjach o wyjeździe

w Alpy grupy trampingowej z Towarzystwa Tatrzańskiego Oddział w Łodzi.

Od początku 1996 roku kiluosobowy sztab wyprawy rozpoczął intensywne prace. Ustalono termin, trasę, programy wycieczek górskich i krajoznawczych, zamówiono miejsca na wybranych campingach, oszacowano koszty i otwarto listę uczestników. Niestety, wskutek różnych okoliczności pojawiła się groźba, że wyprawa nie dojdzie do skutku. Dwie osoby ze "sztabu" musiały zrezygnować z udziału w wyprawie – jedna z przyczyn zdrowotnych, druga – z zawodowych. Jednocześnie nastąpiły liczne przypadki rezygnacji potencjalnych uczestników. Przez kilka tygodni ważyły się losy wyprawy. Entuzjazm i wytrwałość pozostałej grupki chętnych pozwoliły na start autokaru z uczestnikami w zaplanowanym terminie. Wczesnym popołudniem w piątek 28 czerwca przy pięknej pogodzie wyjechaliśmy z Łodzi przez Wrocław, Kudowę "non stop" do Salzburga. Zostawialiśmy za sobą wyboisty trakt spraw organizacyjnych. Przed nami, jak przypuszczaliśmy wspaniałe dni pełne słońca i gór.

W sobotni poranek dotarliśmy na camping położony koło salzburskiego lotniska. Po rozbiciu namiotów i śniadaniu wyszliśmy na zwiedzanie miasta odległego o kilka kilometrów. Wieczorna ulewa zastała nas w drodze do obozowiska i uniemożliwiła zwiedzanie Salzburga nocą.

Następny dzień miał charakter "objazdowy" z dwoma kilugodzinnymi wypadami pieszymi. Przed południem zwiedzaliśmy lodową jaskinię Eisriesenwelt nad Werfen w masywie Tenne Gebirge, a po południu Narodowy Park Berchtesgaden z uroczym, przypominającym fiord jeziorem, Königssee.

Wreszcie czwartego dnia wyjazd w wymarzone Dolomity. Trasa prowadziła na południe autostradą przez Spittal do Willach, a potem na zachód szosą do przejścia granicznego z Włochami w Dobbiaco. Po drodze bez przerwy mgła i deszcz. Dalej przez Cortinę d'Ampezzo, przełęcz Falzarego (2150 m n. p. m.), przełęcz Pordoi (2242 m n. p. m.) dziesiątkami serpentyn dojechaliśmy do zamówionego biwaku w Canazei. Nareszcie zszokowani górami i niepogodą mazowieccy kierowcy będą mogli odpocząć. Deszcz, mgła i zimno. Próbuje bez

rezultatu znaleźć jakiegokolwiek kwatery pod dachem. Powstała grupa "ciepłolubna" głośno domaga się jazdy na południe nad morze aż do spotkania ze słońcem. Wieczorem wszyscy rozbijamy namioty na mokrym kamienistym campingu.

Ranek słoneczny. Wspaniale widać południowe zbocza masywu Sellagruppe, na południu przełęcz Il Collacio, a na południowym wschodzie ośnieżone turnie w grzbiecie Marmolady. Udajemy się z Alby w Dolinę Contrin. Pojawiają się chmury. Zasłaniają wyższe partie. Przechodzą krótkie deszcze. Podobno dla terenu Dolomitów w lipcu jest to stan normalny. Dalsze dwa dni pobytu w Canazei były słoneczne i znakomicie wykorzystane. Większość grupy wyjechała kolejką z Malga Capella na Marmoladę, na Puta Rocca (3309 m n. p. m.). przez okna w chmurach oglądaliśmy. Z rozległego pola śnieżnego fantastyczne kolorowe widoki. Zwiedziliśmy również muzeum walk I wojny światowej w pawilonie przy stacji kolejki. Po południu od jeziora zaporowego Lago di Fedaja podjechaliśmy oryginalnym wyciągiem do dolnej partii rozległego lodowca na Marmoladzie. W tym dniu jeden z kolegów przeszedł samotnie przez przełęcz w Marmoladzie (2910 m n. p. m.) do doliny Contrin a poprzedniego dnia był z drugim uczestnikiem na bardzo trudnej "ferracie" na Il Collacio w czasie ulewnego deszczu. Ostatniego dnia odbyliśmy kilkunastogodzinną wycieczkę doliną Vaiiolet przechodząc trawersem do doliny Lausa, potem doliną Antermoia przez przełęcz di Dona, przełęcz Duron przez długą dolinę Duron aż do Campitello di Fassa i do campingu w Canazei.

Z tej samej bazy można by wędrować i wspinać się po "ferratach" co najmniej przez dwa tygodnie. Wiedząc o tym z żalem i niedosytem wyjeżdżamy przez te same wysokie przełęcze do Misuriny. Znów chmury i deszcz. Po drodze z przełęczy Falzarego wychodzimy na atrakcyjną kilugodzinną "pętlę" okrążającą masyw Tofana di Rozes (3225 m n. p. m.). Po drodze zwiedzaliśmy stolicę sportów zimowych Cortinę d'Ampezzo. Przy podjeździe pod przełęcz Tre Croci w drodze do Misuriny podziwiamy wysokopienny, świetlisty las modrzewiowy, którego podszyciem była kosodrzewina i różaneczniki.

Z campingu w Misurinie mimo chmur i częstych deszczów odbyliśmy 3 całodienne wycieczki: – w Dolomity di Sesto, przechodząc od północy pod Tre Cime di Lavaredo i okrążając Monte Paterno, – w grupę Cadini oraz na Monte Piano, gdzie dopadła nas burza śnieżna. Często spotykaliśmy ślady i pamiątki kilkuletnich walk pozycyjnych z I wojny światowej. Od wieczora do świtu towarzyszyła nam pod lipcowym włoskim niebem albo ulewa albo wichura. Jednocześnie temperatura na wysokości biwaku (~1700 m n. p. m.) spadała nocą do 0°C.

Czwartego dnia rano (zgodnie z planem) wyjeżdżamy na północ, mimo, że pogoda się poprawia a na naszej trasie w Wysokich Taurach śnieżyce przerwały wyścig kolarski. Tu zostawiamy 80% nietkniętych szlaków, tam po drodze i na miejscu w Bawarii czekają nas nowe atrakcje. Przecinamy Alpy z południa na północ. Znow Dobbiaco, Lienz a dalej Matrei in Osttirol. Firanki wodospadów spływają z nieba po stromych stokach Wysokich Taurów. Odżywają niespełnione marzenia o przejściach wysokogórskich w masywach Großvenedigera i Großglocknera. Mijamy Mittersil. Zatrzymujemy się przy monumentalnych wodospadach Kriml. Przejeżdżamy autostradą obok Innsbrucku i wieczorem przez Garmisch Partenkirchen docieramy do znanego niektórym z nas campingu w Grainau. Na górach leży znacznie więcej śniegu niż w sierpniu ub. roku. Następnego dnia zwiedzamy w kilkuosobowych zespołach góry i atrakcyjne doliny. Znalazło się dwoje takich, którzy po wyjeździe kolejką na Zugspitze zeszli po pas w śniegu w długą dolinę Rein aż do wąwozu Partnach. Znow załamanie pogody. Jedziemy autokarem zwiedzać zamki bawarskie i wspaniałe barokowe kościoły. Odwiedzamy

Ehrwald, zamki Ober Swangau i Neuschwanstein oraz kościoły w Ettal, Wieskirche i Oberammergau. Po południu ściana deszczu i mgła. Potem już pogoda do końca wyprawy. W przeddzień wyjazdu znow wycieczki w małych zespołach między innymi do wąwozu Hollental. Czworo poszło dalej i przez grzbiet Hohe Riffel zeszli nad jezioro Eibsee.

W sobotę rano trzeba zwolnić miejsca na campingu. Pakujemy się i wychodzimy po raz ostatni do Garmisch. Widać przygotowania do weekendowych i okolicznościowych festynów. Przyjeżdżają nowi turyści. Ostatnie drobne zakupy i pożegnanie z kolorowym i uśmiechniętym kurortem. Dziwnym zbiegiem okoliczności prawie wszyscy "nasi" wracają na camping "okazjami" w postaci luksusowych samochodów i sportowych kabrioletów. Zaskakująca jest życzliwość i uprzejmość "tutejszych".

Od południa w sobotę ruszamy do Polski. Słońce i upał, chłodna noc, świt i rano jesteśmy w Łodzi w miejscu, skąd wyruszyliśmy 16 dni wcześniej. Dzielni kierowcy "wyrrywają" do Skierniewic ile mocy w silniku.

Po upływie roku od opisywanej wyprawy i po odbyciu następnej wyprawy w Alpy muszę stwierdzić, że mimo przeciwności losu wszyscy uczestnicy przyczynili się do zrealizowania w stopniu maksymalnym forsownego programu zachowując miłą atmosferę w całym zespole. Bogaty materiał fotograficzny i na taśmach video oraz wspomnienia wystarczą na wiele lat, mimo tego, że co roku tyle dzieje się w naszym turystycznym świecie.

Adam Sulikowski

NA GÓRSKICH SZLAKACH PRACY SPOŁECZNEJ



ak to pięknie brzmi : "Kosówka" – najstarszy w Polsce Klub Turystów Górskich (najstarszy z 44 istniejących w kraju według stanu

z 1994 r.). klub to my, turyści nie liczący lat, stale młodzi duchem, wędrujący szlakami góorskimi i nizinnymi, pozostający w głębokiej przyjaźni z przyrodą. Ciekawi kulturowych skarbów, przepełnieni nutą patriotyzmu, miłujący ojczystą ziemię z jej urokliwymi zakątkami.

Istnienie w naszej klubowej społeczności, to nie tylko czerpanie radości i zadowolenia ze spełnienia się na górskich szlakach, w dużych zagranicznych wyprawach, w wędrówkach krajoznawczych, wycieczkach kilkudniowych, imprezach górskich, rajdach czy spotkaniach towarzyskich. Za nami całe lata, w ciągu których była również możliwość osiągnięcia satysfakcji z podjętego trudu pracy społecznej.

Edward Moskała w jednym ze swoich artykułów poświęconych naszemu Klubowi zanotował, że był on "wylęgarnią" działaczy turystyki górskiej.

Przez cztery dziesiątki lat naszą gromadą zapaleńców kierowali kolejni prezesi, wspierani przez kolejne zarządy. To już XX kadencja. Obecny nasz prezes, Staszek Nowicki, w swoim artykule wprowadzającym opisuje dzieje Klubu. Chronologicznie przedstawia wydarzenia turystyczne i związanych z nimi ludzi, to, czym żyliśmy przez te lata, co nas pasjonowało, jak podnosiliśmy swoje kwalifikacje turystyczne i zdobywaliśmy całą gamę przeróżnych odznak, medali, dyplomów, wyróżnień.

Myślę jednak, że koleżankom i kolegom, którzy przez lata poświęcali swój czas i serce na kierowanie naszym Klubem, organizowali nasze życie turystyczne, tym, którzy działali i działają we władzach Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, należy się dużo ciepłych słów uznania i szczególne miejsce w Biuletynie Okolicznościowym.

Współzałożycielem naszego Klubu jest Staszek Nowicki, Honorowy Przodownik Turystyki Górskiej, odznaczony Złotą Honorową Odznaką PTTK, Złotą Odznaką Zasłużonego Działacza Turystyki. Jest Członkiem Honorowym KTG "Kosówka". Staszek spędził całe lata na szlakach turystycznych świętokrzyskich, beskidzkich, tatrzańskich. Organizował wycieczki górskie i krajoznawcze dla członków Klubu i sympatyków, w kraju i poza granicami, między innymi w Tatrach Słowackie, do Bułgarii, Hiszpanii. Towarzyszyła mu zawsze Eleonora – żona i przyjaciel turystycznych eskapad. Działał również jako przewodniczący Komisji Turystyki Górskiej Łódzkiego Oddziału PTTK, a obecnie jako prezes "Kosówki", utrzymuje kontakt z Komisją Turystyki Górskiej Zarządu Głównego PTTK w Krakowie i z prezesem Złotów Klubów Górskich i Alpinistycznych. Czternastokrotnie organizował i

był kierownikiem Rajdów Łysogóry-Jesień. Przez wiele lat pełnił funkcję wiceprezesa Zarządu Oddziału Wólczanka S.A.

Ukoronowaniem długoletniej działalności turystycznej naszego prezesa Staszka Nowickiego jest zaszczyt organizowania uroczystości 40-lecia "Kosówki" w pięknym schronisku na Polanie Chochołowskiej.

Najdłużej, bo przez 11 lat prezesował nam Leszek Fularski, również współzałożyciel Klubu, wyjątkowy społecznik, bez reszty oddany sprawom turystyki. Inicjator wielu imprez klubowych i ogólnopolskich. Kierownik Rajdów Sądeckich i Świętokrzyskich, wyjazdów na rajdy "Śladami Teodora Fontany", wycieczek w Tatry. Organizator jubileuszy kolejnych pięcioleci Kosówki. Pełen zapału w krzewieniu turystyki wśród młodzieży.

W Zarządzie Łódzkiego Oddziału PTTK pełnił przez wiele lat funkcję prezesa. Jest członkiem Komisji Turystyki Górskiej, Honorowym Przodownikiem Turystyki Górskiej, Honorowym Prezesem Zarządu Oddziału, Prezesem Rady Prezesów Oddziałów Województwa Miejskiego Łódzkiego PTTK, członkiem Komisji Historii i Tradycji ZG PTTK. Posiada zaszczytny tytuł Honorowego Członka PTTK. Jest odznaczony medalem Komisji Turystyki Górskiej Zarządu Głównego PTTK, Złotą Honorową Odznaką PTTK i jest Członkiem Honorowym "Kosówki".

Myślę, że najcenniejszym darem Leszka Fularskiego dla turystyki w ciągu wielu lat jego społecznej pracy jest powiększenie szeregów "uręczonych górami".

Przez prawie pół wieku Adam Chyżewski wędruje po górskich szlakach pracy społecznej. W "Kosówce" bacował nam w latach 70-tych. Przodownik Turystyki Górskiej, jedyny w Klubie przewodnik Świętokrzyski, członek Klubu Wysokogórskiego. Pełnił funkcje wiceprezesa i prezesa w Zarządzie Wojewódzkim PTTK. Był członkiem Rady do spraw Turystyki i Wypoczynku Głównego Komitetu Turystyki. W roku 1981 był delegatem na Walny Zjazd PTTK i w wyborach do władz otrzymał funkcję członka prezydium ZG PTTK, a niedługo potem wiceprezesa Zarządu Głównego. Sprawował ten urząd w latach 1982-1993. W roku 1983, będąc członkiem delegacji PTTK, wręczał Ojcu Św.

Janowi Pawłowi II insygnia Członka Honorowego PTTK. Wielki to zaszczyt i wyróżnienie.

W 1993 roku, w kolejnych wyborach do Zarządu Głównego, PTTK, został wybrany prezesem. Funkcję tę sprawował do roku 1997. To jedyny przypadek w historii PTTK powołania na prezesa członka Klubu Turystów Górskich. Podjęta przez Adama praca w ZG była wyjątkowo trudna i odpowiedzialna. Przypadła na kryzys finansowy PTTK, zły stan nieremontowanych latami schronisk i bacówek oraz wielu innych kłopotów organizacyjnych. Z tymi wszystkimi trudnościami nasz "kosówkowy Adam", prezes Zarządu Głównego, uporał się znakomicie, pozostawiając w roku 1997 majątek PTTK wielokrotnie pomnożony. Sądzę, że członkowie naszego Klubu niewiele wiedzą o tym rozdziale działalności społecznej Adama, działalności tak bardzo związanej z rozwojem turystyki w Polsce. Natomiast wszyscy wiedzą, że na wielu prelekcjach Adama w Klubie brakowało miejsc do siedzenia. Prezentowane przeźrocza, dopracowany i wyjątkowo interesujący komentarz, to przegląd wrażeń z organizowanych przez niego wielu wypraw i wycieczek. Od Gór Świętokrzyskich przez Beskidy, Tatry po wschodni kraniec Karpat i połoniny rumuńskie z dzikimi końmi. Piękne przeźrocza z Indii, Nepalu, Malezji, Tajlandii, Europy zachodniej od holenderskich polderów po półwysep Iberyjski. Przeźrocza z Włoch, Sycylii i Grecji a ostatnio z uroczych zaułków Londynu.

Jak podziękować człowiekowi skromnemu, chętnie dzielącemu się z otoczeniem swoją rozległą wiedzą i doświadczeniem turystycznym za lata pracy społecznej dla Klubu, dla rozwoju turystyki. Wyróżnienia Złotą Odznaką Zasłużony Działacz Kultury i Zasłużony Działacz Turystyki, Złotą Honorową Odznaką PTTK, honorowym członkostwem "Kosówki" to wcale nie za dużo za tyle lat pracy.

Wyprawę do Ameryki Płd. z ambicją zdobycia przez członków naszego Klubu najwyższego szczytu Andów, Aconcaguy, zorganizował Zbyszek Ścibiorek, członek również Alpejskiego Klubu "Szarotka" przy Łódzkim Oddziale PTTK, były członek Klubu Wysokogórskiego, Przodownik Turystyki Górskiej – kolejny turysta-społecznik. Wcześniej kierował wyprawą klubową w Himalaje i do Chin. Szczyty Europy

też nie oparły się Zbyszkowi. Wyprawa w Alpy z planem zdobycia Mont Blanc, wycieczka po wyspach brytyjskich, Skandynawia aż po Nordkapp, nie mówiąc o wyprawach w Tatry Słowackie to też jego pomysły i realizacja. Wrażenia z tych ciekawych wojaży, opisane przez uczestników, mieszczą się na stronach Biuletynu. Jeszcze kilka nazwisk związanych z pracą dla Klubu. W latach 70-tych nawiązano pierwsze kontakty z "uczącymi się turystyki" Czechami. "Wujcio" – Aleksander Siemiradzki, Jasio Marusik, Andrzej Lesiński i Romek Zieliński, a później także Przemek Wojciechowski – to grupa Przodowników GOT, dzięki której rozpoczęliśmy klubowe wędrówki za granicę, na "Czeskie Kwadranty".

A któżby nam organizował wiosenne wycieczki, gdyby nie "Kuciapka" – Romek Zieliński. Przecież od lat wywozi nas na krótsze 3-4-dniowe trasy po Polsce, dłuższe – dwutygodniowe do Słowacji i Czech. Dzięki Romkowi poznaliśmy liczne słowackie jaskinie, sięgające po granicę Węgier, to Romek przeciągnął nas po "stupaczkach" na przełomie Hornadu. A Słowacki Raj. Mała Fatra i Niskie Tatry, wyprawa w Dolomity. Zawsze uśmiechnięty, chętny do pomocy i mający w rękawie dowcip na każdą sytuację. Dzielnie sekunduje mu Włodek Rakowiecki, również zapalony turysta społecznik. Jego trasy wycieczkowe są pięknie zaplanowane. Szczególnie tę ostatnią będziemy pamiętali, gdy w pierwszych dniach maja mknęliśmy autokarem wśród kwitnących łąk i sadów na północ, przez Ciechocinek i Toruń do pięknego zamku w Golubiu-Dobrzyniu i dalej do komturii krzyżackich.

Szlaki turystyczne pracy społecznej, to nie tylko domena naszych kolegów. Elżbieta Korczak szósty raz topiła "Marzannę" w okolicach Łodzi. Ona i Wanda Świątczak pamiętały, by zabrać choć parę osób z "Kosówki w Tatry, Wanda uczestniczy w organizowaniu jesiennych rajdów w Łysogóry i w "Powitaniu wiosny".

Ania Pawlak dwukrotnie wywoziła nas na Węgry, gdzie nie tylko zwiedzaliśmy zabytki i słuchaliśmy czardaszy, lecz także moczyliśmy się w zdrowotnych basenach. Marysia Brojer i Elżbieta Królikowska przybliżyły nam zabytkowe zamki pałace i dworki. Ewa Hankiewicz zapoznaje naszych sąsiadów - w grupach

międzynarodowych - z pięknem naszego kraju. A Marysia Lisowska "wyżywa" się w organizowaniu corocznych sylwestrowych wyjazdów w góry., w 1998 roku będzie już dziesiąty .

W naszej "Kosówce" jest także grupa turystycznych społeczników, którzy działają również poza Klubem. Przodownik Turystyki Górskiej, Zbyszek Bestecki jest członkiem Prezydium Zarządu Oddziału. Adam Arndt działa w Komisji Rewizyjnej, a członkiem Zarządu jest Jurek Chojnacki.

Proszę wybaczyć autorce, jeżeli czyjeś pracy społecznej nie doceniła, czy pominęła któregoś

z działaczy. Moim zamysłem było wykazanie, jak wiele osób bezinteresownie rzuca się w wir dodatkowych obowiązków, które niesie praca społeczna dla **Klubu**, dla **Turystyki**.

Chciałabym, by nasi młodszy stażem członkowie Kosówki z roli wyłącznie uczestników pięknych wypraw i wycieczek stali się ich współorganizatorami, co zapewniłoby kontynuację działalności Klubu, utrzymanie jego wieloletnich tradycji.

Jolanta Grońska

WŁADYSŁAW KRYGOWSKI

1906-1998

4 kwietnia 1998 roku, przeżywszy lat 92 zmarł Władysław Krygowski, Członek Honorowy Klubu Turystów Górskich „Kosówka”. Pogrzeb, który odbył się 16 kwietnia na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie, zgromadził olbrzymie grono przyjaciół Zmarłego. Żegnali oni prawdziwego człowieka gór, pisarza, publicystę, Członka Honorowego PTTK, wieloletniego redaktora naczelnego „Wierchów”, Honorowego Przewodniczącego Komisji Turystyki Górskiej ZG PTTK, wybitnego działacza władz PTT i PTTK. Nawet w krótkiej notatce nie sposób nie wymienić choćby najważniejszych funkcji jakie pełnił w obu Towarzystwach:

Sekretarz ZG PTT, w latach 1933-1936
IV wiceprezes PTT, w latach 1936-1937
I wiceprezes PTT, w latach 1937-1947
Członek ZG PTTK, w latach 1950-1958
Członek Prezydium ZG, w latach 1956-1958
Wiceprezes ZG, w latach 1960-1962
Sekretarz KTG ZG PTTK, w latach 1962-1972
Wiceprzewodniczący KTG ZG, w latach 1972-1973
Przewodniczący KTG ZG, w latach 1973-1974
Honorowy przewodniczący KTG ZG PTTK, od roku 1981
Sekretarz redakcji „Wierchów”, w latach 1947-1949

Redaktor naczelny „Wierchów”, w latach 1950-1975

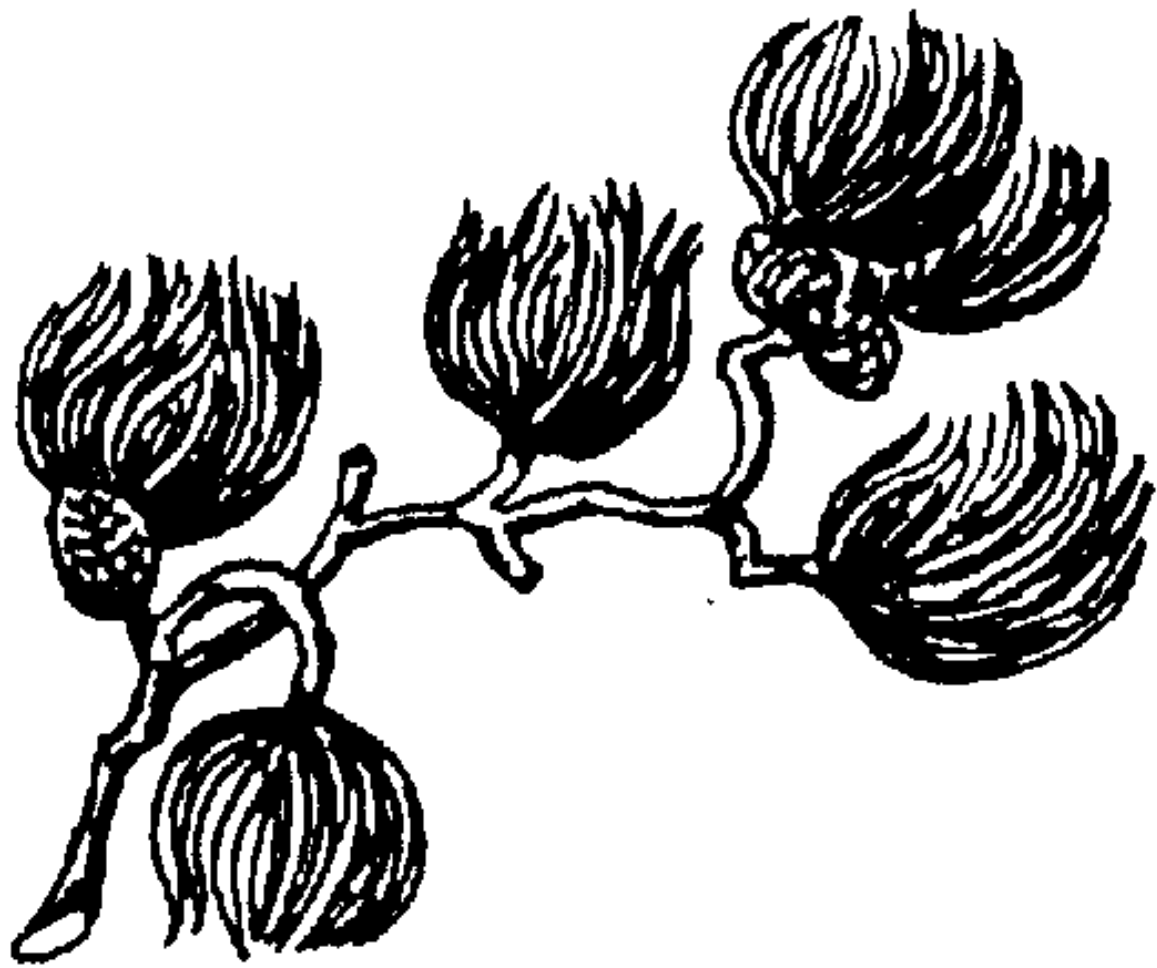
Bibliografia dorobku literackiego, przewodnikowego i publicystycznego Władysława Krygowskiego byłaby równie obszerna jak całe nasze wydawnictwo jubileuszowe. Mógł On swoją książkę zatytułować „Góry i doliny po mojemu,, i nie było w tym cienia zarozumiałości.

Tak pisał o tym, co umiał w górach widzieć.

„A w samych górach dziwy, przedziwy. Przenikanie kolorów, odkształcanie się grani, żlebów, płyt i upłazów. Na świetlistość gór stojących jeszcze w jasnym blasku nakłada się błękitny woal odległości, oddalający się w samo niebo, które również oddala się w coraz delikatniejsze różowe i złote tło tajemniczej ikony. Lodowy płonie ciągle. Śnieżna Grań, Kapalkowe Turnie i Sobkowe rzeźbią ostre cienie na jego urwiskach. O tej porze, gdy już cienie przeczołgały się przez regle i doliny, po dwakroć wyższy i potężniejszy staje się Lodowy, jeszcze oświetlony słońcem, którego my już nie oglądamy. W przenikaniu światła i cieni, dotąd spokojnym i powolnym - raptowne przyspieszenie. Jest taki błysk sekundy, w którym budzimy się w innym świecie. Góry pozłociste pozbywają się delikatności, wyraźniej i poprzez

indygową ciepłość zatapiają się w nieprzeniknionym granacie. Jeszcze na wierzchołku Lodowego żarzy się żywy ogień złota, ale już do niego nikt drzewa nie dorzuca, jest jeszcze, ale już wygasa. Blednie także w oczach różowa smuga na Koszystej. Jeszcze tylko nad nią strzałka światła wyszukała podłużną chmurę, która ugodzona nią spłynęła wstydem czerwieni i rozpuściła się.”

Adam Chyżewski



W górach

W górach jest wszystko co kocham
Wszystkie wiersze są w bukach
Zawsze kiedy tam wracam
Biorą mnie klony za wnuka

Zawsze kiedy tam wracam
Siedzę na ławce z księżycem
I szumią brzozy kropidła
Dalekie miasta są niczem

Ja się tu urodziłem w piśmie
Ja wszystko górcom zapisałem czarnym
Ja jeden znam tylko synaj
Na lasce jałowca wsparty

I czerwień kalin jak cyrylica pisze
I na trembitach głosi bór
Że jedna jest tylko mądrość
Dzieło zdjęte z gór

Jerzy Harasymowicz